50 gr.

Świat dziewcząt

N. 19



Warszawa, dnia 20 września 1933 r.

BRATNIE DUSZE

Kochany Bartniku!

Szalenie mi się podobałeś wraz z twojemi pszczołami, wprawdzie nie nadarzyła mi się nigdy sposobność zawarcia z niemi bliższej znajomości, ale się ich nie obawiam, miód jest taki słodki, dlaczegóżby i one nie miały być słodkie. Ja tak samo, jak Ty, kocham wieś i marzę o podróży krajoznawczej po Polsce; tymczasem, co roku wyczekuję z niecierpliwością szkolnych wycieczek. Ach! jak to przyjemnie przemierzać dumnym krokiem ulice naszego szanownego grodu, dźwgając plecak solidnie wypchany przez Mateczkę, która nigdy nie chce zrozumieć, że sweter, „nadmiar jadła" i t. p. rzeczy, nie są mi wcale potrzebne. A potem pociąg paf, paf, paf, koła uderzają o szyny, i „hajda w świat". Miałabym Ci tyle, tyle do opowiedzenia, ale boję się zajmować zbyt dużo miejsca, a przytem ta nieszczęsna algebra czeka i zegar bije 9-tą. Jeśli więc chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej o mnie, skiń tylko swym — nie wiem — ciemnym czy jasnym „łebkiem" — a otrzymasz natychmiast sążnistą odpowiedź od

Nel.

Miłe Dziewczęta ze „Świata"!

Chciałabym z Wami korespondować.

Mam lat 19, w zeszłym roku ukończyłam liceum. Już trzeci rok prowadzę drużynę harcerską. Moje małe bardzo mię lubią, a ja również jestem do nich bardzo przywiązana i doskonale się wśród nich czuję. Już dawno nazwały mię „Słoneczkiem".

Jestem wesoła, lubię sport, dużo piszę, maluję i haftuję. To wszystko, co o mnie wiedzą ci, co mnie znają. Ale Wam chcę powiedzieć więcej.

Jestem skryta i zamknięta, moja wesołość znika bez śladu, gdy jestem sama.

Chodzę jedynie własnemi drogami i, niestety, niczyj autorytet ani doświadczenie nie może mi wystarczyć, do wszystkiego muszę dojść sama, gdy chcę rozwiązać jakieś zagadnienie. To rozwinęło we mnie silną wewnętrzną samodzielność, lecz, niestety, i pochmurność.

Ale to wszystko jest dla mnie; dla otoczenia mam wiele pogody i wesołości i nikogo nie mam zwyczaju zanudzać swojemi poglądami i wywodami.

Tych ludzi, których znam i z którymi się stykam w życiu codziennem, umiem dzielić jedynie na dwie kategorje: na tych, których lubię, dla których jestem zawsze gotowa dać to wszystko, co dać mogę, i na tych, których nie lubię, z którymi obcowanie sprawia mi przykrość, tych, o ile inaczej nie można, unikam, nie ze względu na siebie, ale na wzajemny spokój, którego niepotrzebnie zakłócać nie chcę. Naginać się nie umiem.

Dla mnie ludzie obojętni mi — nie istnieją; jest to podobno cechą ludzi silnie reagujących. Według tych norm układam sobie życie. Jestem dość wyrozumiała, by się możliwie przystosować do otoczenia i być pożyteczną, ale i dość twardą, by od swoich zasad nie odstąpić.

Piszcie do mnie wszystkie: i duże i małe. Moja najmłodsza przyjaciółka ma 7 lat, a najstarsza przeszło 50 i wszystkie są mi równie bliskie i kochane. Chcę i Was mieć w kole moich przyjaciół. Dobrze?

Obecnie jestem na letnisku aż do października, piszcie więc na adres:

M. Słobodzianka
Wesoła k/Warszawy, ul. Dobra 14.
willa J. Słobody.

Mam 17 lat, jestem wesoła, kocham wszystkie dziewczynki, lecz, niestety, mam mało koleżanek, ponieważ nie słyszę. Chciałabym bardzo pozyskać dla siebie jakąś bratnią duszę, dlatego apeluję do serduszek dziewczęcych, ażeby która odezwała się do mnie, ażeby mi nie było tak smutno i ażebym chociaż na tej drodze pozyskała więcej znajomych.

„Narcyz".

Mój adres w Redakcji.

Mam lat trzynaście. Mieszkam w małem miasteczku, którego jednak okolice są bardzo ładne. Zwiedziłam w Polsce Gdynię, Gdańsk, Warszawę, Kraków i Zakopane. Z Gdyni wyjeżdżałam motorówką na morze. Lubię bardzo książki awanturnicze, sport, muzykę, kwiaty, kino i „Kino". Lubię jeździć samochodem.

Którąby z czytelniczek zechciała ze mną korespondować — to proszę o to bardzo.

Adres: *Lucia Szalatówna*
Oborniki — Rynek 5.

Hallo!

Bratnie Duszyczki!

Mieszkam w mieście, na lato jeżdżę na wieś. Jestem wesoła, lubię książki, kino, sporty, no i naturalnie „Świat Dziewcząt" — o tem chyba nie trzeba wspominać. Uwielbiam też lotnictwo. Chciałabym korespondować z jakąś bratnią duszyczką, któraby oprócz zamiłowania do lotnictwa mogła też udzielić mi technicznych informacyj. Ja sama rozumiem się troszkę na technice lotnictwa. Lubię też bardzo rysować. W pożyciu koleżeńskiem cenię przedewszystkiem szczerość, ale nie lubię wylewów zbytniej czułości. Niestety, mam dopiero 13 lat i obawiam się, że żadna ze starszych bratnich dusz nie zechce do mnie napisać. Korespondencję wzajemną mogłabym prowadzić po francusku, ale to nie konieczne. Jeżeli znajdzie się bratnia duszyczka o tych samych, co ja upodobaniach, proszę napisać pod:

Felicja Poźniakówna
Borysław — Potok dolny, ul. Narutowicza nr. 8.

Hallo! Tu *„Jasnotka z ruin"* — ma lat 13, jest w 3-ej gimnazjalnej. Kocha wieś, konie, zwierzęta, książki (w rodzaju: Sienkiewicz, Rodziewiczówna), a niecierpi robótek kobiecych (brr), miasta (wyłącznie kino i lody). Lubię sporty, wiosłuję ,ślizgam się i t. d. Jestem strasznym łobuzem („z ciebie to istne „półdjable"). Najmilsze zajęcia — to łażenie po drzewach, książki, łódka i konie. Jeżeli jaka „bratnia duszyczka" jest do mnie podobna, to niech adresuje:

Madzia Łuniewska
Kraków, Wolska 16 m. 1.

P. S. Bratnia dusza nie może mieć lat więcej, jak 13 i mniej, jak 11-cie.

Do Tesi!

Wprawdzie nie jestem z Poznania, lecz z Przemyśla (Małopolska), to jednak sądzę, że mogłabym znaleźć w Tobie, Tesiu, „Bratnią Duszę". Nie jestem bardzo wesoła, ale lubię się śmiać, a także zajmować poważnemi sprawami. Kocham przyrodę i wieś, jak Ty.

Ty lubisz teatr, a jednak bardziej lubię chodzić do kina i czytać „Kino".

Umiem pływać, ślizgać się. Wioślarstwa nie uprawiam jeszcze. Za to celuję w siatkówce. Kocham muzykę, której się uczę z zamiłowaniem i pobieram lekcje francuskiego.

Po wakacjach zaś mam się jeszcze uczyć języka angielskiego.

Sądzę jednak, że mimo tych minimalnych różnic i odległości, która nas dzieli, moglibyśmy korespondować ze sobą i zczasem polubić się, choćby nie znając się osobiście.

Czy zechcesz jednak do mnie pisać?

Jeżeli się zgodzisz, to napisz do „Świata Dz." pod. *„Kuleczka".*

Dział „Bratnie Dusze".

Hallo! Która z Czytelniczek „Świata Dziewcząt" lat 14—16 zechce ze mną korespondować?

Mam lat 14, jestem w IV-ej klasie gimnazjalnej, w szkole należę do największych kawalarek, ale mam b. dużo poważnych zainteresowań.

Jestem wychowana a i obecnie mieszkam na wsi, kocham więc przyrodę, interesuję się hodowlą i rolnictwem. Również interesuję się sztuką współczesną i starożytną, pracą społeczną, kinem i fotografją, lotnictwem bardzo, literaturą współczesną i „Światem Dziewcząt". Z nauk ścisłych interesuje mnie astronomja i archeologja. Myślę, że wobec tylu zainteresowań znajdę bratnią duszę.

Najchętniej korespondowałabym z kimś, mieszkającym zagranicą lub z lwowianką, ponieważ Lwów, choć go nie znam, jest „miastem moich marzeń".

Niech więc ktoś o wesołem usposobieniu, a poważnych zamiłowaniach odezwie się do

The Incognito.

Mój adres w Redakcji.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

20. REBUS.

Z podanego rysunku odczytać popularne przysłowie. *„Mahatma"* (Choroszcz).

Za trafne rozwiązania powyższych zadań przeznacza Redakcja w drodze losowania wartościową nagrodę książkową. Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa dnia *10 października 1933 r.*

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji, z dopiskiem: *„Rozrywki Umysłowe"*

S Z A R A D A.

Młodych polskich *piątych-szóstych* roje
Otworzyć winny *dwa-ne* serc podwoje
I iść naprzód śmiało przez *czwarty*,
Pierwsze ży-trzecie przed sobą otwarte,
A jeśli uwzględnią korzyści niemałe,
To nie zapomną nigdy, co nam głosi *całe!*

Halina Orzeszko (Golków).

A R Y T M O G R A F

1 2 3 4 5 + 1
6 2 7 8 3 9 + 10 11 1
5 2 12 2 + 11 1
+ 13 10 13 11 14 1 5 11 1
9 + 4 10 1
+ 2 9 7 1 5 11 1
+ 5 15 1 16 17 11 1
16 8 5 10 + 17 11 1
+ 13 10 18 14 11 1
19 8 15 3 + 1
20 + 16 13 1 16 17 11 1

Zamiast cyfr i krzyżyków wstawić należy słowa, oznaczające 11 państw europejskich.

Miejsca, oznaczone krzyżykami, czytane pionowo, dadzą imię i nazwisko wielkiego króla polskiego.

Ania z Katowic.

Rok I. Warszawa, dnia 20 września 1933 r. Nr. 19



OD REDAKCJI

Tworzycie w wielkim świecie mały światek zamknięty: świat dziewcząt.

Świat to bardzo szczególny, zupełnie inny od tego, który go otacza. Inne rzeczy was interesują, inne rzeczy lubicie, inaczej reagujecie na wiele zjawisk życiowych. Krótko mówiąc, nie jesteście już dziećmi, a daleko wam jeszcze do dorosłości.

Ta „inność" stanowi, że nie bez pewnej racji twierdzicie: nikt nas nie rozumie! ani dom, ani szkoła, ani młodsze rodzeństwo...

I, co jest chyba najgorsze, czasami nie rozumiecie same siebie.

To zrozumienie samych siebie postara się wam ułatwić wasz zeszłoroczny przyjaciel „Świat Dziewcząt". Co dziesięć dni będzie wam opowiadał o tem, jakie jesteście, co lubicie, co was interesuje. O waszych troskach i radościach, o książkach, o teatrze, kinie, jak się tanio i modnie ubrać, jak przyjąć gości, jakich sportów używać. No i — co nie jest mniej ważne — jak wygląda i co myśli świat ludzi dorosłych, który jest jeszcze poza wami.

Jakże często się zdarza, że ten wielki świat, przed którym broniła nas i szkoła, i dom, i nasza własna dziewczyńskość — jest dla świeżo kreowanej dorosłej osoby czemś zupełnie obcem, czemś, czego zupełnie nie rozumie, czego będzie musiała się nauczyć, jeśli chce w tym świecie znaleźć i zająć swoje właściwe miejsce.

Tylko te, które nie wychodząc ze świata dziewcząt, miały okna otwarte na świat ludzi dorosłych — nie zagubią się w nim.

I dlatego, rozpoczynając nowy rok naszego wydawnictwa, otwieramy zarazem szeroko okna na sprawy wielkiego świata. Przez te okna, nie wychodząc z bezpiecznej krainy własnych zainteresowań, patrzeć będziemy na sprawy i rzeczy, których nie widzieć nie można, jeśli się później po świecie nie chce błądzić poomacku. Tu powiemy wam w zaufaniu, miłe czytelniczki, że wasi rówieśnicy, chłopcy, o wiele wcześniej sprawami temi się interesują. I wcale dobrze na tem wychodzą i lepiej od was dają sobie radę w życiu.

Nie chcemy, byście były od nich gorsze. I dlatego więcej, niż w roku ubiegłym, poświęcimy miejsca sprawom ludzi dorosłego świata. Wszystko, co się dzieje w Polsce i poza nią, wszystko, o czem wiedzieć powinnyście i z pewnością wiedzieć zechcecie — znajdzie miejsce w „Świecie Dziewcząt".

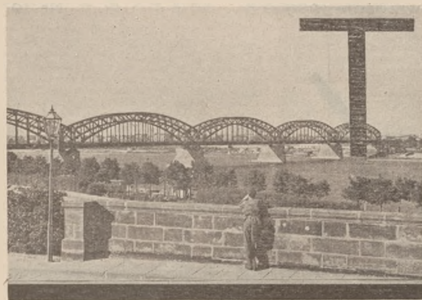
I — co zgóry wam obiecujemy — bez krzywdy dla powieści, feljetonów, kina, dla teatru, dla sprawozdań z książek, opowiadań, krzyżówek, wzorów robót, mody, sportu.

Poprostu — staropolskim obyczajem rozszerzymy gościnnie ściany naszego pisma dla każdej nowej myśli, dla każdego interesującego zagadnienia, czy zdarzenia.

REDAKCJA

TWORZYMY POLSKĘ

Linja średnicowa



Nowy most.

Kiedy któryś z astronomów obliczył średnicę naprzykład Uranusa — interesowało to nas niewiele. Kiedy nam w szkole powiedziano, że przez Warszawę przechodzi taki albo inny południk— też niebardzo nas to wzruszało. Ale kiedy dowiedziałyśmy się, że otwarto dla ruchu ogólnego średnicę Warszawy, zaczęłyśmy się tą sprawą interesować.

Średnica? Mój Boże, kto nie wie, co to jest średnica. Linja przecinająca koło i przechodząca przez jego środek. Podobno taka linja mieści się 3 i kilka jeszcze cyfr ułamkowych w obwodzie koła. Coś jakieś „pi" czy coś podobnego? To nie jest lekcja matematyki, więc odpowiedzi nie wymagam.

Linij takich, przecinających Warszawę, jeśli ją będziemy uważać za koło, jest liczba nieskończona. Ale jedna z tych linij jest skończona i to niedawno. O niej chcemy pomówić.

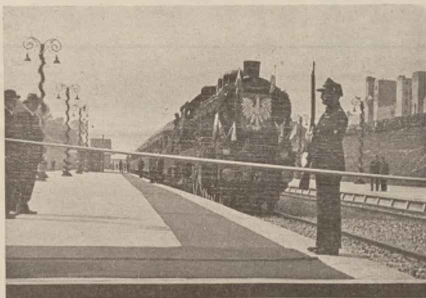
Skończono właśnie i oddano do użytku publicznego kolejową linję średnicową. Jest to linja biegnąca od Dworca Głównego na Pragę, częściowo pod ziemią, częściowo po wiadukcie i nowym moście kolejowym, który wyrósł u wylotu ulicy Smolnej.

A cóż mi z tej linji i z tego mostu? — zawoła może niejedna z was.

A no — budujemy Polskę.

Od czasu jej odrodzenia staramy się wszystkie jej instytucje ulepszyć i doprowadzić do tego stanu, w jakim znajdują się w Europie Zachodniej i Ameryce. Warszawa — ta największa stolica Europy Wschodniej — pozbawiona była dotychczas stosownych dla takiego miasta środków komunikacyjnych.

Zbudowano więc linję średnicową przedewszystkiem dlatego, żeby skrócić czas biegu pociągów z Zachodu na Wschód. Polska jest krajem tranzytowym. Pośredniczy i zarabia na transporcie z zachodu Europy do tego ogromnego kolosu, który dziś nazywa się



Pierwszy pociąg.

Z. S. R. R., a dawniej nazywał się Rosją.

— Skrócić o 15 kilometrów czy to dużo?

— A dużo. Bo 15 kilometrów tu i tam, to 30. A postój, a cofanie pociągu i zmiana maszyny — to chyba na jakie 60 wypadnie.

Czas — to przestrzeń i przestrzeń — to czas. Zastanówcie się nad tem.

Lecz nie o to tu chodzi. Chodziło przy stworzeniu linji średnicowej przedewszystkiem o podniesienie Warszawy do stanowiska stolic europejskich. O doprowadzenie naszej komunikacji do europejskiej miary. Bo nie wiem, czy wiecie, a może i wiecie, że jest jeszcze dużo ludzi w Polsce, którzy ośmielają się mówić o naszym kraju: „to nie Europa". Tym wielka linja średnicowa, skracająca o 30 km. drogę Paryż — Moskwa, zatkała chyba gęby — jeśli się tak wyrazić wolno.

Linja średnicowa pokazała nam, że w tym kraju, który my nazywamy swoim, a który obcy chrzczą mianem Poland, Polen czy Pologne — w tym kraju, gdzie już oddawna kultura stała tak wysoko, że innym i za sto lat nie dorównać, stoi teraz i na poziomie obcych — cywilizacja techniczna.

W ciężkiej pracy dochodzi do tych wyników odrodzone państwo polskie. Ale czyż tem bardziej nie powinnyśmy się z nich cieszyć?

Ale pamiętajmy przytem o jednem: zbudował ten tunel i tę całą średnicę Warszawy inżynier Wasiutyński, przeprowadził tę sprawę i wykończył minister Butkiewicz, uświetnił i unaocznił znaczenie tej linji Pan Prezydent Mościcki.

A wszystkiemu temu przyglądał się Marszałek Piłsudski.

Te imiona zapiszcie sobie w sercach, kiedy po raz pierwszy jechać będziecie pod brukiem Warszawy.

Z. P.



MUNDURKI — TAK, CZY NIE?

Każdy zawód, każda pora dnia, każdy wiek ma swoją, że tak powiemy, swoistą elegancję. Wyobraźmy sobie na chwilę pana w smokingu, tłukącego przysłowiowe kamienie na przysłowiowej szosie; panią w swetrze i sportowych pantoflach na balu. Kucharkę w wyciętej, wieczorowej sukni, obierającą kartofle. Biuralistkę porządkującą akta w — szlafroku.

Mundur jest „elegancją" szkoły. Byłoby to może płytkiem podejściem do zagadnienia, gdybyśmy nie zagłębili się jednocześnie w istotę tego lekkomyślnego z pozoru pojęcia. Elegancja — to wyczucie właściwej atmosfery danej czynności i sytuacji, w ramach której się odbywa.

Jest to najwłaściwsza jej forma i jednocześnie motto nastrojowe. Z włożeniem czegoś na siebie odczuwamy odrazu gotowość postępowania tak a nie inaczej. Suma tej gotowości rośnie, jeśli nastrój pomnożony jest o cyfrę jednostek w gromadzie. Inna, mniejsza jest gotowość do marszu pojedyńczego żołnierza na chodniku, wmieszanego w tłum cywilów a większa — stąpającego w zwartym szeregu. Pojedynczy występ w balowej sukni wywołuje zażenowanie — znalezienie się zaś w strojnym tłumie pobudza zwiewność i taneczność ruchów.

Mundur w szkole jest zbiorowym wykładnikiem gotowości podjęcia gromadnej pracy. Jest on jednym z atrybutów szkolnego życia. Uprzytamnia niejako potrzebę wytężonej uwagi i skupienia. Klasa pełna mundurków to atmosfera naładowana szkolną czynnością. Gromada jednakowo ubrana — to zbiorowy wysiłek. Widziałyście pewno nieraz na tle jednakowo, przepisowo ubranej klasy odskok dziwaczny, zjawisko, rażące nasze poczucie szkolnej estetyki: „nową" przesadnie kolorowo, dziwacznie ubraną. Czuje się ona niewyraźnie, marzy o chwili, kiedy już będzie ubrana „jak wszystkie", kiedy przestanie na siebie ściągać niepożądaną uwagę. A jak żałośnie czuje się bezładna grupa rekrutów, jak im ta cywilna pstrokacizna przeszkadza w uformowaniu się kolumny, w poczuciu kadry!

Mundur w szkole — to maska ochronna, zabezpieczająca od niepożądanych drwin i przyczepek, skorych do złośliwości koleżanek. To synonim równości społecznej. Nie powinno być w klasie lepiej i gorzej ubranych, nie jest to miejsce do popisu dla „strojniś", ani do poczucia własnej niższości wobec nich skromniej ubranych koleżanek. To jednocześnie wzmożenie poczucia własnej i zbiorowej szkolnej godności na zewnątrz. Nie trzeba się bać rzeczy, które obowiązują nas do trzymania się w karbach: to dobra szkoła charakteru.

Powiedział ktoś o mundurze, że jest to młodszy brat sztandaru. Piękne i mądre powiedzenie, bo określa moralne znaczenie munduru.

Mundur to przecież nie tylko strój wygodny i praktyczny — ale strój, który nakazuje szacunek.

Honor munduru — to honor umundurowanych. Nie wolno go splamić, nie wolno rzucić nań najmniejszego cienia.

Za postępowanie jednego granatowego mundurka — odpowiedzialne są wszystkie granatowe mundurki w Polsce: mundur jest strojem obowiązkowym nie tylko dlatego, że jesteśmy obowiązane go nosić, ale że nakłada na noszącą obowiązek moralny poszanowania tego stroju. Jeżeli zaś zaczniemy się buntować przeciw mundurkom, dlatego że — krępuje nas ich noszenie, to tylko smutny dowód, przemawiający za — „umoralniającem" (przykre słowo, prawda?) znaczeniem mundurków.

Teraz — strona praktyczna. Koszt. Zapewne wygodniej jest donaszać stare sukienki w szkole teraz, narazie, kiedy trudno o grosz. Ale mamy cały rok do przepisowego terminu wprowadzenia mundurków. Można więc będzie to załatwić stopniowo. A zyskujemy na tem bezwzględną oszczędność. Póki się jest w szkole — w mundurku można pójść wszędzie: na wizytę, na koleżeńskie zebranie (nawet z tańcami), do teatru, na koncert. Spada z nas troska o suknie, która wyszła z mody, o to, że inne będą ubrane lepiej, o to, że może ubierzemy się nie odpowiednio. Jeśli zaś żyją w nas mocne instynkty kokieterji kobiecej, mamy zawsze w odwodzie niezawodne atrybuty elegancji: dobry materjał, krój, utrzymanie mundurka w stanie ustawicznej świeżości, czysty kołnierzyk i wogóle to wszystko, bez czego, albo z czem ubranie sprawia wrażenie niechlujne lub pretensjonalne.

Nie bójmy się więc mundurków. Mają one swoje bardzo, a bardzo dobre strony.

Wanda Borudzka.

MARJA OLSKA

FOUND

NOWELA

Hallo, Jim.

— Hallo, Kid. A czego tu szukasz? — zapytał Jim Found, ściskając rękę przybyłemu.

— Niczego — lakonicznie odparł zagadnięty i, zdjąwszy kapelusz, otarł czoło chusteczką. — Chciałem się z tobą zobaczyć i tu mnie zagnało. Jesteś jedynym człowiekiem, z którym dogadać się można.

W cieniu starego drzewa skryli się przed żarem południa i Kid usiadł na niskim płotku, patrząc chytremi oczkami ku oddalonym zabudowaniom gospodarskim. Po pewnej chwili na jego grubych wargach ukazał się tajemniczy uśmieszek.

— Nie spodziewacie się dziś poczty? — zagadnął Jima od niechcenia.

Zapalając papierosa, Found spojrzał na niego ukradkiem.

— Ja nie spodziewam się, — odparł obojętnie. — Mnie nikt nic nie przyśle, nikogo nie mam na świecie. A mój stary jeszcze uprzyjemnia mi życie, wścieka się od rana i klnie o byle co. Pewno wie, że pieniędzy już nie dostanie.

Szare oczki Kida rozbłysły. On dobrze wiedział, że pieniędzy nie dostanie ten stary wilk. Jim nie powinien jednak przejmować się tem, miejsca swojego nie straci, choćby stary Blake klął do samej nocy.

Pochylił się do ucha młodzieńca i dodał półgłosem:

— Zdradzę ci w zaufaniu, że dziś o północy „Czarodziejka" będzie moja. Podobasz mi się, chłopcze, lubię pracować z młodymi ludźmi, a ty, zdaje się, sprytny masz.

Poklepał go po ramieniu i zsunął się z płotka. Strzepnął kurz z ubrania, szerokoskrzydły kapelusz nasunął na oczy, w milczeniu podając rękę Jimowi.

— Już idziesz, Kid?

— A idę, nie mam czasu na przyjemności. Spodziewam się, że reszta dnia tego będzie gorąca niczem przed burzą. Bądź zdrów.

Skinął głową, postąpił kilka kroków, lecz nagle zatrzymał się, jakby sobie coś jeszcze przypomniał i rzekł niedbale:

— Jim, jeśli zmieniłoby się co i poczta dla was miałaby nadejść, to chyba wiesz, gdzie mnie szukać.

Found przyłożył rękę do ronda kapelusza, mówiąc z uśmiechem:

— Zrobione, boss!

Na okrągłej, rozlanej twarzy Kida ukazał się wyraz błogiego zadowolenia. Chwilę stał, jak urzeczony, wreszcie powiedział z przekonaniem:

— Będą z ciebie ludzie!

Jim Found patrzył za nim, dopóki nie dosiadł konia i nie odjechał drogą, prowadzącą do osady, poczem położył się w cieniu, a utkwiwszy wzrok w leniwie przesuwających się po lazurze nieba obłokach, poddał się sennej bezmyślności. Zostało mu jeszcze trochę wolnego czasu, zanim Bess przyjdzie po niego, więc podłożył ręce pod głowę i w tem rozleniwiającem cieple wszystko stało mu się obojętne.

O tej porze i koło domu cicho było i spokojnie.

Blake ociężale, zsunąwszy się z siodła, półgłosem rzekł do starego sługi:

— Ben, miej na oku tego paniczyka. Przy kaktusach widziałem ich razem, a Kid wydawał się ucieszony. Wietrzy dobry żer i krąży zdaleka.

Znużonym krokiem powlókł się ku domowi, a zatrzymawszy się na schodkach werandy, zasłonił ręką oczy od słońca, patrząc wyczekująco ku bocznej dróżce, biegnącej od rzeki.

Pogodne dni trwały od dłuższego czasu, słońce dopiekało silnie, ani przez chwilę nie powiał wiatr, a trawa żółkła dokoła.

Blake odjął rękę od czoła i usiadł na schodkach. Wreszcie zobaczył to, co zwykł był widzieć każdego dnia o tej porze. Chmurnie zsunął gęste brwi. Nierad widział Bess w towarzystwie młodego człowieka, którego nie znał prawie i nie wiedział nic o jego przeszłości. Niejednokrotnie ostrzegał ją, lecz ona wierzyła w swój rozsądek, nie widziała powodu do obaw, dla niej Jim Found był dżentelmenem.

Drżącemi rękami nabił fajkę tytoniem, zużył trzy zapałki, zanim ją zapalił i wreszcie chciwie zaciągnął się dymem.

— Znów czekasz na nas, papciu. — rzekła Bess, zatrzymując się przy nim.— Zasiedziałam się trochę dłużej, bo rzeka ogromnie wezbrała i, rwąc z góry z ogłuszającym hukiem, tworzy tak piękny widok, że oczu od niej oderwać nie można. Hiram denerwował się trochę i z trudem doprowadziłam go do brzegu.

Usiadła obok, objąwszy ramieniem starca, który patrzył na nią posępnie.

— Mogłabyś tam teraz nie jeździć. Denerwują mnie te twoje spacery i prosiłbym, abyś ich zaniechała, dopóki nie uspokoi się rzeka. Koń może się kiedy spłoszyć i ponieść.

Bess spojrzała na niebo. Słońce już rozpoczęło drugą połowę swej drogi i nadejście północy liczyło się tylko na godziny.

— Dobrze, papciu, uczynię to dla ciebie, — odparła łagodnie ze smutnym uśmiechem. — Jutro tam nie pojadę.

Blake przytulił ją do siebie.

— Głupi stary ze mnie, prawda? — rzekł, uśmiechem usiłując pokryć wzruszenie.

Pocałowała go w policzek i podniosła się.

— Pójdę zobaczyć, czy Anna prędko obiad poda — rzekła — bo skarżył się, że głodny.

Patrzył za nią, dopóki drzwi nie zamknęła, poczem zwrócił się do Jima:

— Czego chciał Kid od ciebie?

Młodzieniec nie wydawał się zaskoczony tem pytaniem, odparł swobodnie:

— A rozmawiał ze mną.

— Wypytywał cię pewnie, czy spodziewam się pieniędzy?

— Raz tylko zapytał. Powiedziałem, że pieniędzy nie będzie, bo bank już dawno odmówił pożyczki i pocztę mogą wziąć djabli.

Blake chmurzył się, tarł czoło gorącą dłonią i Jim czuł, że był bardziej zgorzkniały, niż zwykle.

— To zły z ciebie dyplomata, — mruknął podrażniony spokojem Jima. — Kid będzie zanadto pewny siebie.

— Zły? Znając Kida, myślałem, że dobry.

Gorąca, spracowana ręka zacisnęła się w pięść.

— Zejdź mi z oczu! — rzucił Blake szorstko.

Jim Found stał w miejscu, ponuro spoglądając na chlebodawcę. Gorycz brzmiała w jego głosie, gdy mówił:

— Już nie będę się panu naprzykrzał. Kid przyjął mnie do siebie.

— Odchodzisz?

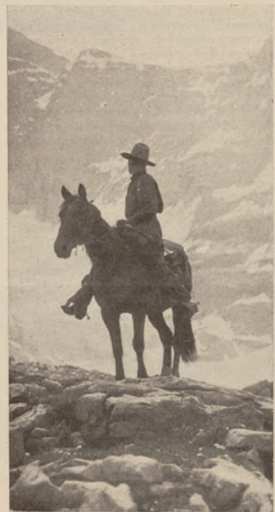
— Nie. To pan odchodzi, Kid dziś obejmuje farmę.

Blake zwiesił głowę i twarz ukrył w dłoniach. Patrząc na jego posiwiałe włosy, Found złagodniał.

— Niech się pan nie martwi o Bess — mówił ciszej. — Ja ożenię się z nią i zostaniemy w „Czarodziejce".

Kiedy Blake odsłonił twarz, młodzieńca przeraziła jej bladość.

— Bess nie będzie służyła u nikogo — wymówił z trudem. — Pójdzie ze mną na dolę i niedolę, a ty, jeśli ci całe kości miłe, nie waż się mówić o małżeństwie.



...dopóki nie dosiadł konia i nie odjechał drogą, prowadzącą do osady.

Found poczuł niewysłowiony żal do starca i niechęć znów zwyciężyła. Z dymiącym papierosem w ustach powiedział:

— Pan jest egoistą, pan nie myśli o Bess, pan jest złym ojcem.

Nie patrząc na niego, Blake odparł twardo:

— Bess jest moją wychowanicą i mnie został kłopot troszczenia się o nią. Ja nie mam dzieci...

Jim Found odwrócił się i odszedł, pogwizdując wesoło.

Blake czas jakiś został sam na sam z gorzkiem rozmyślaniem, dopóki tętent na drodze nie wyrwał go z zadumy. Ujrzał małego, okrągłego człowieczka, zdążającego ku niemu i splunąwszy z pasją, wyprostował szerokie bary, jakby szykował się na przyjęcie wroga.

— Poziom wody podnosi się jeszcze, — zaczął gość. — Bo też obfite były opady tej zimy.

— Koluje zdaleka, — pomyślał Blake i milczał.

Widząc, iż gospodarz nie zdradza ochoty do pogawędki, Kid przystąpił do rzeczy:

— Blake, żebyście mnie nie posądzili o nieżyczliwe względem was zamiary, przyjechałem przypomnieć o upływającym dziś terminie. Macie tylu przyjaciół, może uda wam się jeszcze pożyczyć tę niewielką sumkę. Czekam do północy, potem wasza „Czarodziejka" dostanie nowego gospodarza.

Blake roześmiał się z goryczą.

— Chyba ty jeden mógłbyś pożyczyć, Kid, gdyż wszędzie wyrobiłeś mi opinję bankruta, siedzącego w twojej kieszeni i nikt nie zaryzykuje ani grosza. Zresztą, zrobiłem głupstwo, zawierając z tobą tę niefortunną umowę i przepadłem. I czego tu jeszcze chcesz? Cierpliwie czekaj ostatniej godziny, nie świeć mi w oczy swoją tłustą fizjonomją, bo chociaż jestem chłop spokojny, to czasem ręka może prędzej uderzyć, zanim głowa pomyśli.

Kid przezornie cofnął się dwa kroki i dalej mówił spokojnie:

— Pożyczyłbym chętnie, ale sam jestem w długach i nie mało będę miał kłopotu obejmując twoje gospodarstwo. Inwentarza niema, a gołej ziemi nie ugryzę przecież. Może ci los poszczęści i wkrótce odkupisz ode mnie swoją ruderę.

— Ale za cenę podwójną, — mruknął Blake.

Nie słuchał dalszego narzekania Kida, z zaciekawieniem patrząc w stronę podwórza, skąd biegł ku nim bosy chłopak. Zatrzymawszy się raptownie przed gospodarzem, wcisnął mu w rękę jakiś papier i zawrócił w milczeniu.

Kid przysunął się bliżej, a Blake szybko przeczytawszy pismo, ścisnął je w drżącej ręce.

— Hej, Bess! — krzyknął głośno.

Weszła po chwili, pytając:

— Co się stało, papciu, że krzyczysz tak, aż szyby brzęczą?

— Pieniądze, Bess! — rzekł, podnosząc się. Pieniądze przyjdą dzisiejszą pocztą. Czytaj!

Podniecona nieco i zaciekawiona wzięła z jego rąk kartkę. Było to krótkie zawiadomienie, że pieniądze zostały wysłane. Opanowała się szybko i spojrzała na opiekuna, którego oblicze promieniało.

— Tak mi przykro, — zaczęła powoli. — lecz nie możemy tego brać na serjo. Niema ani marki, ani pieczęci i podpis nieznany. Widocznie ktoś poprostu zażartował z nas.

Blake pobladły patrzył na nią zgaszonym wzrokiem.

— Gadasz! — rzekł niedowierzająco. — Oddaj mi to!

Nie mógł mówić, coś go za gardło ściskało, jakby niewidzialna ręka chciała zdławić przedwczesną nadzieję.

(D. c. n.)

KULTURA i SZTUKA

Szkolne czasy naszych ulubionych pisarzy.

Najbardziej chyba charakterystyczną, niemal nieodłączną cechą okresu młodzieńczego, owych „bezgrzesznych lat" szkolnych, jest kumanie się z muzami, zadzierzyste wyprawy na Podparnasie przy pomocy atramentu, pióra, cierpliwego papieru i—zależnie od płci—patetycznych lub sentymentalnych rymów. Takie to jest nagminne, jak ząbkowanie lub pierwsza miłość. Trwa to krócej lub dłużej, zależnie od okoliczności, i mija, a z pretendenta do powinowactwa duchowego ze Słowackim czy Konopnicką wyrasta stateczny inżynier, doktór, czy adwokat lub zgoła trzeźwy polityk lub przemysłowiec, stateczna mecenasowa lub ministrowa, z zażenowaniem wspominający młodzieńcze rymoróbstwo.

Ale czasem z iskierek rozpłomieni się ogień prawdziwego talentu, po nieśmiałych próbach nastąpi dojrzałe tworzywo, łączące piękno słowa z głębią myśli i uczucia.

Nieraz ta przemiana dokonywa się wcześnie i szybko pod wpływem wewnętrznych wstrząsów i objawień, niekiedy zaś ziarno długo kiełkuje, zanim obfitym obrodzi plonem, zawsze jednak jest wynikiem rzetelnej pracy nad rozwojem przyrodzonych uzdolnień.

Wbrew utartemu przekonaniu, że „każdy wielki niepoń z ławy szkolnej może być wielkim człowiekiem", większość współczesnych naszych pisarzy uczyła się w szkole średniej nienajgorzej.

Orkan uczył się średnio, nie zdradzając żadnych specjalnych zainteresowań i według opinji profesorów był „zdolny ale próżniak". Boy uczył się nierównomiernie, Kaden średnio, Ejsmond dobrze.

Świetni pisarze i znakomici uczeni: Zieliński, Kleiner i Sinko uczyli się bardzo dobrze, celująco nawet. Prof. Zieliński miał gorsze lata jedynie po śmierci ojca, gdy rodzina znalazła się w b. ciężkich warunkach, ale od chwili kiedy zaczął zarabiać lekcjami prywatnemi, nauka szła gładko. Prof. Kleiner był uczniem celującym niemal we wszystkich przedmiotach, a prof. Sinko naukę szkolną uważał tylko za pogłębienie i utrwalenie tego, co już wiedział i dla szkoły niczego nie potrzebował się uczyć, a zawsze otrzymywał stopnie celujące. Również jednym z najlepszych uczniów był świetny komedjopisarz i znakomity popularyzator wiedzy ścisłej Bruno Winawer.

Piotr Choynowski w I, II i III klasach miał nagrody, w IV był prymusem i chodził wtedy „nadęty i pełen godności", ale już w V to się nagle urwało. „Zacząłem wtedy masę jeść, szybko rosnąć i szybko pisać". Lekcje i stopnie obchodziły go „jedynie w miarę życiowych konieczności", a szkołę średnią ukończył „samą siłą rozpędu". Podobnie rzecz się miała ze Zdzisławem Dębickim, on też załamał się w klasie V, gdy uderzyła weń „fala zainteresowań literackich", tak że „klasa VI była już rekordem próżniactwa, ale zato „pęczniały kajety z poezjami".

Ferdynand Goetel cenzury miewał wszelakie, ale nie uczył się nigdy „wskutek wrodzonego lenistwa i wstrętu do zajęć przymusowych. Kwestja nauki była czynnikiem drugiej wagi w mej karjerze szkolnej, natomiast kapitalne były obyczaje przeważnie naganne".

Adolf Nowaczyński uczył się nierówno, klasy III i VII „repetował", ale mimo to maturę otrzymał już w 18 roku życia.

Wacław Grubiński w szkole uczył się b. źle, w domu zaś dosyć dobrze. Dla wszystkich nauczycieli, szkolnych i domowych, był nieznośny, zadawał im „dzikie" pytania, na które nie mogli odpowiedzieć zadawalająco, co go niewymownie bawiło. Rozsadzał go temperament, we wszystkich zagadnieniach, nie wyłączając matematycznych, odkrywał „przez szaloną wrodzoną wesołość", jeżeli nie słabe strony, to strony śmieszne. „To też literalnie co kilka dni lekcje kończyły się awanturą. Dotknięty nauczyciel oskarżał mnie o brak powagi i zamiłowania do nauki, no i naturalnie o zarozumiałość, gdy mi nie wystarczały jego argumenty. Moje kontrargumenty były traktowane jako bluźnierstwa bardzo zepsutego chłopca, który „za wiele chce wiedzieć".

Znakomite literatki uczyły się przeważnie znakomicie. Dla Marji Dąbrowskiej nauka była „czemś w rodzaju sportu i przyjemności, emocjonującym sposobem wyładowania energji i ustanawiania rozmaitych rekordów".

Zofja Nałkowska uczyła się dobrze i skończyła jako pierwsza uczenica, choć „nad niektóremi przedmiotami musiałam naprawdę popracować".

Kazimiera Iłłakowiczówna w okresie szkoły należała do rzędu „dzieci-fenomenów", uczyła się w domu, zdając jako eksternistka po kilka klas w ciągu jednego roku. Gruby tom geografji Rosji naprzykład potrafiła przerobić w ciągu trzech dni i to pomiędzy egzaminami, a program z greki w zakresie 8 klas gimnazjum męskiego opanowała w ciągu pół roku, zdając celująco. „Powinnam stanowić — wyznaje świetna poetka — odstraszający przykład, jak nie należy się uczyć".

Marja Pawlikowska uczyła się tylko w domu, nie zdawała żadnych egzaminów i czuła się dobrze „tylko sam na sam z książką bez pomocy osób trzecich". Również tylko w domu uczyła się Marja Jehanne Wielopolska, która przyznaje się, że: „uchodząc w oczach rodziców za anioła, zatruwałam życie guwernantkom, furmanom i pokojówkom".

Tylko niektórzy pisarze, jak Orkan, Dębicki, Zieliński, Kleiner i Sinko wykazywali równomierne uzdolnienie do nauk humanistycznych i przyrodniczych.

Natomiast „piętą achillesową" większości pisarzy była matematyka. Kornel Makuszyński wręcz pogardzał temi naukami, „nigdy nie mogąc pojąć, po kiego licha potrzebna może być do pisania wierszy — trygonometrja". Nowaczyński „fatalnie" stał z matematyką, fizyką oraz „logiką i propedeutyką", natomiast klasyków greckich tłumaczył „na wyrywki". Piętą achillesową Goetla była chemja i greka. Dla Zofji Nałkowskiej najtrudniejsza była algebra, natomiast Iłłakowiczówna przez pewien czas zapaliła się do matematyki, a dla Winawera była ona stale ulubioną dziedziną wiedzy, zaś „zmorą była chronologja".

Grubińskiego w latach szkolnych najbardziej pociągał fechtunek, Winawera — szachy, Orkana, Nowaczyńskiego i Makuszyńskiego — teatr. Dąbrowską muzyka „oszałamiała od katarynki poprzez orkiestrę Namysłowskiego aż do opery i koncertu symfonicznego", choć, jak przyznaje, „nie rozumiałam jej i poddawałam się czarowi wszelkich tonów w sposób zupełnie barbarzyński".

Wszystkich pasjonowała lektura. Pawlikowska wypożyczała z czytelni po 7 książek naukowych i filozoficznych tygodniowo. Grubiński w 15 roku życia studjował „socjologję" Spensera, Kartezjusza, Spinozę i Schopenhauera. Orkan czytywał b. dużo, początkowo bez wyboru, w IV klasie rewelacją stał się dla niego Szekspir. Perzyński, „żeby nie zwarjować z nudów", czytywał wszystko, co mu wpadło w rękę.

W większości wypadków szkoła średnia wywarła tylko nieznaczny wpływ na ukształtowanie się charakterów i zamiłowań późniejszych pisarzy.

Perzyńskiemu gimnazjum nie potrafiło narzucić zamiłowania do nauki, lecz tylko „konieczność nieruchomego siedzenia na jednem miejscu przez 6—7 godzin dziennie". Goetel stwierdził, że szkoła nie zachęciła go „do żadnej z nauk, a cały jej materjał wyleciał z pamięci ze zdumiewającą szybkością i gruntownością". Ejsmond zaś w szkole nauczył się jednej rzeczy: zdobył pewność, że „trzeba ją nato skończyć, aby się zacząć uczyć".

Wacław Kietlicz-Wojnacki.

NASZA OKŁADKA

Na okładce widzimy portret kobiecy Ludomira Ślendzińskiego. Portret ten przedstawia osobę autentyczną, w stroju archaizowanym, ale na tle fantastycznego krajobrazu, przypominającego włoskie malowidła z epoki renesansu. Gest osoby portretowanej, akcesorja (wieniec, który trzyma), wreszcie sam sposób portretowania całości kompozycyjnej jest również niedzisiejszy. Brak w tym obrazie tego, co nazywamy plein'air'em, pełni powietrznej, zacierającej kontury i zlewającej je niedostrzegalnie z otoczeniem. Sylweta kobieca na obrazie Ślendzińskiego odcina się od tła wyraźnie, ostro, jak rzeźba. I tu właśnie dochodzimy do istoty twórczości Ślendzińskiego. Jego założeniem artystycznem jest harmonijne współżycie, czyli symbioza kształtu z barwą. Dlatego stosuje efekty malarskie w rzeźbie, a rzeźbiarskie w malarstwie. Rzeźby figuralne powleka polichromją, w obrazach stosuje często wypukłorzeźbę, przyczem posługuje się chętnie płaszczyznami metalowemi, złotemi i srebrnemi. Ten rodzaj techniki, stosowany przez mistrzów ówczesnego renesansu, używany jest przez Ślendzińskiego nie gwoli prostego naśladownictwa, ale celem wywołania najsilniejszego wrażenia plastyczności.

Ślendziński przebywa stale w Wilnie i stoi na czele grupy Plastyków Wileńskich, hołdujących tym samym, co on, zasadom artystycznym.

S. P. O.

DZIECI w FILMIE POLSKIM



Zosia Mirska.



Scena z „Legjonu ulicy".

Na schodach szkoły baletowej panuje ożywienie. Maleńkie, prowadzone za rączkę dzieci mijają się ze smukłemi, dorosłemi pannami o lekkich, sprężystych ruchach — ruchach wyraźnie wskazujących ich zawód — są to t. zw. koryfeuszki, czyli skończone baletnice, mali chłopcy o zawadjacko, nabakier włożonych czapkach, z wysokimi smukłymi młodzieńcami. O godzinie 4-ej po poł. rozpoczynają się zajęcia w szkole dokształcającej o programie szkół powszechnych przy szkole baletowej, to też wszyscy uczniowie mają przy sobie teczki.

W kąciku zebrała się grupka dziewcząt, któreby można było określić, wzorując się na tłumaczeniach z angielskiego, jako „dorastające panienki". Pośpiesznie powtarzają lekcje z rozłożonych na kolanach książek. Wśród nich jedna wysoka, o okrągłej twarzyczce, ciemno-blond, misternie skręconych w loki włosach. Zosia, czy nie Zosia? Pamiętam przecież Zosię, jako małą dziewczynkę z „Legjonu Ulicy", a tutaj dorosła panna z rozpaczliwym wyrazem twarzy kuje zapamiętale naukę o Polsce. I dopiero gdy na zapytanie, skierowane do całej grupki, zrywa się i energicznym ruchem ręki ściąga granatową czapeczkę—poznaję ją. Te same wesołe, jasne oczy, okrągła, różowa, trochę płaska twarz, szerokie usta, o dużych, śmiesznych, dziecinnych zębach. Tak, pomimo wysokiego wzrostu i ogólnego wrażenia „dorosłości", Zosia Mirska jest jeszcze dziewczynką wesołą, miłą i naturalną za wyjątkiem chwili, gdy przypomina sobie, że jest wszak „gwiazdą" — wtedy zaczyna mówić nauczonemi zwrotami a twarz zaś jej nabiera nagle leciutko zmanierowanego wyrazu.

— W jaki sposób zaczęła pani swoją karjerę artystyczną?

— Gdy miałam pięć lat zabrała mnie mamusia na dziecinne przedstawienie, połączone z konkursem dla dzieci, które najładniej wypowie wierszyk. Mamusia nie chciała mnie puścić na scenę, ale uciekłam od niej, wbiegłam na estradę i zadeklamowałam. Dostałam pierwszą nagrodę — złoty żeton. Następnie zaczęłam występować w teatrze dla dzieci na Jasnej, tam gdzie obecnie Morskie Oko, a wreszcie w filmie.

— Czy występowała pani w jakimś filmie poza Legjonem Ulicy?

— „Legjon Ulicy" jest moim czwartym filmem. Pierwszym był „Z Raju Bolszewickiego" — grałam w nim z Olgą Czechową i Hansem Stüve — strasznie byli dla mnie mili, byłam na zdjęciach w Berlinie, a gdy wyjeżdżałam, dostałam od Hansa Stüve małego pieska. Następnie grałam w „Pod Banderą Miłości" i „Przedwiośniu". „Legjon Ulicy" był najprzyjemniejszym filmem, w którym pracowałam, nie wyobraża pani sobie, jak wesoło było na zdjęciach.

— A jak tam gazeciarze? nie dokuczali pani?

— No naturalnie z początku nie obeszło się bez tego, ale potem całkiem przyzwoicie się zachowywali. Straszni entuzjaści z tych gazeciarzy. Gdy nagrywaliśmy scenę, gdzie wynoszą mnie na łóżku, jeden z nich, aby udokumentować swój zachwyt, złapał z radości kubełek i dał mi nim po głowie. Jako pamiątkę po nim mam szramę.

— W czem woli pani grać w teatrze, czy filmie?

— Odkąd są filmy dźwiękowe bardzo lubię grać w filmie, wolę jednak teatr pomimo, że praca w filmie jest o wiele łatwiejsza.

— Jakie ma pani plany na przyszłość?

— Po skończeniu szkoły, gdzie jestem od 7-miu lat, mam zamiar zdawać do ZASP'u, chcę być artystką dramatyczną. Potem chcę pojechać zagranicę — uczyć się. Tutaj są niesłychanie ciężkie warunki pracy i duża konkurencja, tak, że już lepiej pojechać i przywieźć coś, czego tu jeszcze nie widziano. To dopiero wysuwa na pierwszy plan, daje sławę no i zyski, któremi nie należy gardzić. Nie mam na tym punkcie złudzeń. Zarabiam od siódmego roku życia. Mam wielu przyjaciół zagranicą, szczególnie w Ameryce, gdyż b. często deklamuję na przyjęciach dla wycieczek Polaków z zagranicy. Pewnego razu, gdy byłam malutka, deklamowałam na Zamku i Pan Prezydent wziął mnie na kolana i pocałował, a jedna pani z Ameryki, gdy mówiłam wierszyk o powstańcach



Tadzio Fijewski i Stefek Regulski.

płakała, a później chciała mnie zaadoptować. Ale naturalnie mamusia nigdy w życiu nie oddałaby mnie. Teraz koresponduję z tą panią, dostałam od niej niedawno na imieniny śliczny, złoty zegarek.

— Czy dostaje pani dużo listów od „wielbicieli?

— Strasznie dużo, niektóre są okropnie śmieszne, ale naturalnie na żadne nie odpowiadam. Dostaję też dużo kwiatów, szczególnie na imieniny.

— Od kogo więcej listów, od chłopców, czy dziewczynek?

— Mniej więcej jednakowo. Dziewczynki piszą o wiele milsze listy, niż chłopcy, bo wiadomo, co chłopcy to chłopcy, lubią czasami coś dla kawału napisać.

Najmilsze jednak są liściki od całkiem malutkich dzieci. Gdy grałam w teatrze dla dzieci, otrzymałam masy takich, niektóre nawet były dyktowane, bo autorzy ich nie umieli jeszcze pisać. Na przedstawieniu „Chaty Wuja Toma", gdzie grałam Ewunię, w scenie gdzie umieram, na sali zrobiło się nagle poruszenie i na scenę wpadł pięcioletni brzdąc z płaczem: „Ewuniu, nie umieraj"! Musiałam przestać na chwilę umierać, by uspokoić malca.

Wtem rozlega się dzwonek, zwiastujący początek lekcji. Dotychczas otaczające nas kołem i przysłuchujące się rozmowie dziewczynki — koleżanki Zosi biegną do klasy.

— Czy nie przeszkadzam pani, panno Zosiu?

— O nic nie szkodzi proszę, pani, mam właśnie na początku godziny odpowiadać i nie mam pojęcia o lekcji. — I bojąc się, że odejdę, otwiera szeroko niebieskie oczy i zaczyna szybko trajkotać:

— Bardzo lubię chodzić do kina. Z artystów filmowych polskich lubię Bodo i Norę Ney, z zagranicznych Ramona Novarro i Marlenę Dietrich. Z teatralnych artystów bardzo lubię tego... no jak on się nazywa, takiego młodego... co to w tym, jak to... w „Wirze" gra... taki przystojny...

— Ziembiński?

— Tak, tak, Ziembiński — cieszy się Zosia — a z aktorką tę, no jak ona się nazywa? co to z nim gra? Ćwiklińska.

Zosia — a z aktorek tę, no jak ona z której nagle, jak z rogu obfitości wysypują się pestki.

— To mi jakiś wielbiciel przysłał worek pestek — objaśnia nonszalancko. I dalej „zagaduje" mnie.

— Najwięcej lubię kolor różowy, a sukienkę koniecznie powiewną, z falbankami, żeby było bardzo dużo falbaneczek. Sporty, owszem, uprawiam; najwięcej lubię jeździć konno.

W wyobraźni mojej wyłania się postać Zosi w pięknym stroju do jazdy konnej (takim, jakie widuje się na ilustracjach angielskich pism), siedząca na „rączym" rumaku. Ale gdzie w Warszawie można jeździć konno? Chyba w tatersalu?

— Jeżdżę zazwyczaj na wsi u cioci, na nieosiodłanym koniu, w sukience, ale tak jest najprzyjemniej — rozwiewa Zosia moje złudzenia. — Ze słodyczy lubię najwięcej czekoladę, z kwiatów róże, poza tem strasznie lubię tańczyć i chodzić na dalekie spacery...

Zosia przystanęła, by zaczerpnąć tchu, korzystam z tego, by zapytać ją, czy też lubi czytać. W niebieskich oczach odmalowuje się zdumienie, ale tem niemniej Zosia skwapliwie mi przytakuje: — o tak, strasznie lubię czytać.

— A jakie książki najwięcej?

Chwilka namysłu. Twarz Zosi poważnieje, brwi ściągają się, wtem na policzku zjawia się głęboki dołeczek, a z oczu tryska promień radości...

Już wie!

— Najwięcej? najwięcej lubię... Wallace'a!..

II. WYWIAD Z TADZIEM FIJEWSKIM

Obrazek sceniczny w jednym akcie.

Osoby:

Tadzio Fijewski (nie jest już Tadziem, tylko panem Tadeuszem; — przygotowuje się bowiem do egzaminu do ZASP'u. Jest średniego wzrostu, blondynem bardzo jasnym i niczem szczególnie zewnętrznie nie wyróżnia się prócz rzeczywiście prześlicznego uśmiechu, skromnego i zarazem promiennego, takiego, pod którego wpływem człowiek mimowoli sam zaczyna się uśmiechać.

Molly (chuda, ale sympatyczna, wysoka, gadatliwa):

— Panie Tadziu, panie Tadziu, bój się pan Boga! Jak to można tak rosnąć?

Tadzio: ze swoim ślicznym zakłopotanym uśmiechem: — Ano rośnie się... Cóż poradzę, proszę pani? Wszyscy mają o to pretensję. Nie mogę przecież całe życie być małym. Już dwa lata minęły, odkąd nagrano „Legjon Ulicy".

Molly (smętnie) — Ma pan rację — jedni rosną, drudzy się starzeją... (wzdycha, poczem): Cóż u pana słychać dobrego, panie Tadziu?

Tadzio: (ponuro i lakonicznie) — Wkuwam się.

(Żałośnie) — Niech mi pani nie przypomina o wodzie (oblizuje się), bo jak Boga kocham rzucę książki do kąta, wyskoczę przez okno. A potem pójdę do wszystkich teatrów pokolei i do wszystkich kin, a potem będę dużo, dużo czytać, a na jesieni będę grać w teatrze, już jako aktor na pełnych prawach.

Molly: — Odkąd gra pan w teatrze?

Tadzio: — Od siódmego roku życia. Pierwszy raz grałem z Zelwerowiczem w „Chorym z Urojenia" Moljera, podtrzymywałem brzuch lekarza, potem grałem w wielu innych sztukach, jako teatralne dziecko. Pierwszym moim filmem był „Zew od Morza".

Molly: — Jakie są pana marzenia i plany na przyszłość?







Dwaj przyjaciele.

Tadzio: (z jeszcze większym zapałem, niż poprzednio) — Chcę zostać wielkim, naprawdę wielkim aktorem, takim, jak Kean, takim jak u nas Solski i Zelwerowicz.

Molly: — Czy wyobraża siebie pan w jakimś innym zawodzie?

Tadzio. — O nie! Jestem urodzonym aktorem. Poza sceną nie mógłbym istnieć; mógłbym powiedzieć, jak Ludwik XV: „mon delicieux metier d'artiste". Szczęśliwy jestem, że mogę być aktorem, a chcę być rzetelnie dobrym aktorem.

KURTYNA.

GASTON CH. RICHARD

Czar skrzydeł

TŁUM. STEFANJA HEYMANOWA

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Janka Bel du Colombel była urzędniczką w wielkiej fabryce samolotów firmy Durand-Gardel. Pewnego dnia wybuchł w fabryce groźny pożar, który nie tylko zniszczył całe skrzydło budynku, ale zagrażał tajnej skrytce, gdzie mieściły się ważne plany. Janka z narażeniem życia ratuje te papiery, w nagrodę za co, pan Durand-Gardel zabiera ją do Paryża, gdzie pod kierownictwem jego syna, ma się Janka kształcić na pilota. W Paryżu piękna i dzielna dziewczyna wzbudza nie tylko podziw, ale i wielką miłość zarówno w sercu młodego Piotra Durand-Gardel, jak i jego przyjaciela, Fernanda.

W chwili najwyższego napięcia rywalizacji dwóch młodych ludzi, starszy pan Durand-Gardel wysyła Jankę i Piotra samolotem do Indyj. Tam właśnie ma się odbyć decydująca rozmowa Piotra z Janką.

— Chodź, chłopcze, mamy ze sobą do po-[illegible]

Piotr wprowadził go do gabinetu.

Pierwszym przedmiotem, który rzucił się w oczy Klemensowi Durand-Gardel był portret Janki. Uśmiechnął się i zwróciwszy się do syna, położył mu obie ręce na ramionach.

Stali tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy. Nagle Piotr rzucił się ojcu na piersi i, kryjąc twarz na jego ramieniu, wydał ciężkie westchnienie, podobne raczej do łkania...

— Mój biedaku, cierpisz? — spytał ojciec serdecznie, kiedy syn zapanował nad sobą i wyprostował się.

— Tak, ojcze — odrzekł Piotr z dziecięcą prostotą.

— Przez nią, prawda?

— Tak...

— Kochasz ją naprawdę?

— Z całej duszy, ojcze... Ale ona mnie nie [illegible]

Mówił dalej z całą szczerością:

— Nie potrafiłem wzbudzić w niej głębokiej miłości, jaką czuję dla niej. Nie umiałem wypowiedzieć słów, które należało powiedzieć. Obawiałem się, żeby nie przyjęła za przelotny kaprys tego, co jest głęboką, prawdziwą miłością... Nie mówiłam wtedy, kiedy należało... Odtąd Fernand posiadł nad nią większą władzę. Potrafił ją zainteresować, zabawić, rozerwać: ja musiałem tylko kochać w milczeniu i wiem, że straciłem ten skarb na zawsze.

Mówił głosem cichym, urywanym.

— Co robić? Ona mnie nigdy nie pokocha...

— Skąd możesz wiedzieć? — pocieszał Klemens Durand-Gardel.

Piotr przy tych słowach podniósł na niego przerażony wzrok.

— Nie rób mi próżnych nadziei, ojcze — [illegible]

— Nie chcę cię wprowadzać w błąd, ale czy wiesz, że Ferand mówił Jance o... swej miłości?

— Nie, ojcze. Wystarczy jednak widzieć ich razem... Ich każdy gest zdradza wzajemny pociąg ku sobie, przyjaźń o zabarwieniu miło-[illegible]

— Czy Fernand zwierzył ci się ze swej miłości? Nie, więc możesz zupełnie lojalnie otworzyć serce twe przed Janką.

— Czy nie przyjmie tego źle? Będzie to wyglądało, że chcę wykorzystać fakt, iż to właśnie mój ojciec zrealizował jej marzenie. Nie będzie to robiło wrażenia, że się jej narzu-[illegible]

— Możliwe! — odrzekł Klemens Durand-Gardel, zatroskany.

Zwrócił swą piękną twarz w stronę portretu Janki i rozmyślał przez czas dłuższy.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, obawiasz się, że będzie widziała w tobie... tylko... syna szefa?

— Tak, ojcze.

— A więc dam wam sposobność do zniwelowania tej... nierówności. Będziecie tylko dwojgiem współzawodników...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Za tydzień wypuścimy „Gryfa VI". Silniejszy od „Gryfa V", mniej wspaniały od „Kormorana", powinien być idealnym aparatem turystycznym. Ty i ona polecicie za dwa tygodnie do Indyj. A więc Paryż — Benares, drogą np. na Tunis, potem Aden — Bombay — Benares. Miesiąc nieobecności. Zabierzesz ze sobą Dicka lub Wawrzyńca. Będziecie pilotowali kolejno, ty i ona. Fernand spędzi ten czas na rekonwalescencji w Nizzy, a ty... będziesz miał okazję powiedzieć Jance o tajemnicy twego serca... Zgadzasz się?

Piotr wahał się.

— Nie odpowiadasz?

— Ten manewr nie wydaje mi się bardzo lojalny, ojcze — rzekł wreszcie.

— Ależ tu nie chodzi o manewr — zawołał Klemens Durand-Gardel. — Albo ona kocha Fernanda i powie ci to, odmawiając twej prośbie o jej rękę, albo też go nie kocha i... wtedy cię przyjmie, może nawet z radością. Wiem, że nie należy do tych, które dążą do posiadania majątku. Powie ci lojalnie, czy serce jej jest wolne, czy też nie. W każdym razie będziesz wiedział, czego się trzymać.

— Niestety, to już wiem — pomyślał młody człowiek, ale nic nie odrzekł.

— Nie odpowiadasz? Mój projekt nie podoba ci się? — nalegał inżynier.

— Przeciwnie, jest doskonały...

— W każdym razie da także sposobność do oddalenia Janki od twego rywala, jej zaś — do utrwalenia swej sławy, albowiem nigdy jeszcze kobieta nie była mianowana drugim pilotem takiego samolotu jak „Gryf VI". I nawet...

— Co jeszcze?

— Rozpuścimy wieść, że ty asystujesz tylko, ażeby miała pomoc, na wszelki wypadek.

— Ona się na to nie zgodzi...

— Ale zgodzi się polecieć. Za to ręczę...

* * *

Klemens Durand-Gardel nie omylił się.

Janka bez wahania zgodziła się polecieć z Piotrem do Indyj. I zaledwie próby z „Gryfem VI" zostały ukończone, lotnik i lotniczka, w towarzystwie Wawrzyńca, najstarszego mechanika, opuściła lotnisko Buc-les-Versailles, ażeby udać się do Tunisu, który był pierwszym etapem ich podróży. Po dziewięciu dniach znaleźli się w Benares, gdzie ludność, zarówno angielska jak i tubylcza, zgotowała im gorące przyjęcie. Przez cztery dni nie dawano im odetchnąć. Pokazywano im wszystkie cuda świętego miasta, oprowadzano ich po świątyni bogini Ganga i asystowali przy rytualnej kąpieli tysięcy pielgrzymów, którzy dreptali po błotnistych wodach, potrząsając zwisającemi na ich piersiach różańcami „trosk".

Wreszcie Piotr i Janka mieli zakosztować trochę spokoju, w pięknym „bungalow", w okolicach miasta, należącym do pewnego lorda angielskiego, ongiś wysokiego urzędnika królewskiego, który ofiarował im gościnę.

Lord i lady Mac Andrews, pochodzenia szkockiego, byli Anglo-hindusami, to jest Anglikami z krwi, urodzonemi w Indjach. Ojciec lady Mac-Andrews był gubernatorem Bengalu i pozostawił wśród Hindusów pamięć władcy wielce sprawiedliwego.

Rezydencja ich słynęła z pięknych ogrodów, które były dumą lorda. Rozciągały się one na przestrzeni dziesięciu hektarów i skupiały na niej prawie całą florę Indyj.

„Pipale"*), rosnące nad brzegiem przezroczystego jeziorka, ochraniały piękną statuę Lakhsmi, bogini płodności i miłości. Wokół jeziorka, wznosiły się drzewa sandałowe, o odurzającym zapachu, drzewa mangowe i olbrzymie bambusy. Cudowne kuraty, hibiskusy i storczyki rosły dziko w tym prawdziwym lesie, utrzymywanym z niezwykłą starannością przez całą armję ogrodników, którzy z takim zapałem wyrzucali stamtąd nieproszonych gości, że trudno było znaleźć tam jakiegoś gada lub żmiję wydającą brzydki odór.

Podczas gdy Wawrzyniec z oddziałem angielskich mechaników robił szczegółowy przegląd motoru, Janka i Piotr zażywali szczęśliwych chwil odpoczynku u boku swych gospodarzy. Pogoda była przyjemna. Największe upały już minęły, a indyjska jesień wprowadziła w atmosferę trochę świeżości.

Najulubieńszym zakątkiem Janki był stary kiosk, nad brzegiem jeziora, o lekkich kolumienkach, o balustradach wycinanych w marmurze w kapryśne wzory, o inkrustowanej posadzce, na której widniały wizerunki bogów i bogiń, fantastyczne zwierzęta i dekoracyjne motywy kwiatowe...

Tam też stał kosztowny posąg Boga Sakya-Mouni. Pochodził z dalszej epoki, bo z dwunastego wieku i był dziełem nieznanego mistrza, rzeźbionem w kamieniu o różowem zabarwieniu. Z posągu tego, przedstawiającego boga siedzącego na symbolicznym lotosie, z lewą ręką wyciągniętą, prawą zaś wzniesioną władczym gestem — promieniowała spokojna siła, opanowanie, łagodna słodycz. Czysty i poważny uśmiech nadawał wyraz szlachetności temu szerokiemu obliczu o zamkniętych oczach; dobre i poważne usta wyrażały pobłażanie. Na piersi boga, wśród harmonijnych fałd szaty, zwisała kolja z okrągłych pereł, zakończona nie rytualną swastyką, lecz krzyżem chrześcijańskim.

Tam właśnie po herbacie i sjeście Piotr znalazł kiedyś Jankę. I wobec przyjaznego uśmiechu bożka, protektora dusz czystych, odważył [illegible]

Janka, widząc go nadchodzącego, doznała uczucia dziwnej obawy, niezwykłego u niej zmieszania. Przez sekundę przemknęło jej przez myśl, ta chwila, kiedy on zbliży się do niej, zaważy na jej całem życiu. Było to przelotne wrażenie, rodzaj błyskawicy, która, w olśniewającym piorunowym błysku oświeciła ciemną masę, zasłaniając jej przyszłość!

Czekała w milczeniu, zmieszana i drżąca.

Stanął przed nią z odkrytą głową —

Janka siedziała na „charpoy"*), której ornamenty w formie kwiatów były rzeźbione w białym i różowym koralu, w onyksie, w djamentowym kwarcu, inkrustowane masą perłową; u wezgłowia tej ławy — łoża, paw z turkusów i lapisu, rozpościerał srebrny ogon, inkrustowany topazami. Ława usłana była poduszkami z czerwonego i złotego brokatu, czarnego jedwabiu i fiołkowego aksamitu.

W skromnej sukni z białego woalu, z wielkim wachlarzem z piór w ręce, Janka poważna i pogodna wyglądała pięknie jak księżniczka [illegible]

Jednakże serce jej biło i pierś poruszała się [illegible]

Piotr spoglądał na nią przez kilka chwil w milczeniu.

— Janko — przemówił wreszcie — czy mogę panią prosić o kilka minut rozmowy? To, o czem chcę mówić, dotyczy nas obojga i może zaważyć na naszej przyszłości.

— Co za uroczysty wstęp! — odrzekła, starając wydać mu się wesołą.

— [illegible] wysłuchać.

— Ależ słucham pana, Piotrze.

Oparła się o poduszki i rzekła, wskazując mu miejsce obok siebie:

— Proszę usiąść i... mówić. Słucham pana.

Usłuchał: przez kilka chwil siedział w milczeniu, poczem gestem nieśmiałym i pełnym czułości ujął dłoń młodej dziewczyny w swoje rozpalone ręce... Ona, powodowana zdziwieniem i wzruszeniem, starała się usunąć rękę...

— Nie... szepnął. — Proszę panią... Janko...

Nie dokończył zaczętego gestu.

— Janko — podjął Piotr, tonem głęboko wzruszonym — musi mi pani oddać sprawiedliwość, że odkąd pani jest między nami, nie traktowałem jej inaczej jak przyjaciółkę, towarzyszkę, współpracownicę...

— Tak, Piotrze, przyznaję to.

*) Święte figowce.

*) ława — łoże.

— Jednakże od tej chwili, gdy zobaczyłem panią po raz pierwszy w Nantes, w gabinecie Lemonicza, zrozumiałem, że pani będzie dla mnie wszystkiem... Nie kochałem nigdy przedtem... A panią kocham z całej duszy... Czy pani tego się nie domyślała?

Słuchała w milczeniu, z opuszczoną głową.

— Kocham panią, Janko! — mówił dalej. — I to, co kocham w pani, to nie — odwaga bohaterki. Kocham w niej raczej — cnoty kobiety. A więc — wdzięk „panny mądrej", szlachetność duszy, zmysł współczucia i ukrytą pod powłoką sportsmenki, silnej, zdecydowanej, stanowczej — tajoną czułość, słodycz, uczucia macierzyńskie... Tak, jest pani pogromczynią przestworzy tak, jak pani prapradziad Jehan Bel du Colombel był pogromcą mórz. Jest pani „miss Białoskrzydła", spadkobierczynia wielkich awanturników, zdobywców wód z dalekich lądów, ale jest pani również Janką, słodką, czułą na wszystkie niedole, Janką o jasnym uśmiechu i sercu anioła... I tej Jance właśnie postawiłem oł[illegible] co nastąpi.

Umilkł ścisnął trochę mocniej dłoń, którą mu pozwoliła zatrzymać.

— Niemożliwe ażeby pani nie czuła tej miłości, którą dopiero dzisiaj pani wyznałem. Milczałem dotychczas, gdyż nie chciałem występować wobec pani, jako protektor wobec swej protegowanej. Ale dzisiaj jest pani moją współzawodniczką, równą mi, a może wyższą. Jest pani pierwszą między najlepszymi, dlatego ośmielam się prosić panią dzisiaj, ażeby została mo[illegible]

— Pańską żoną, Piotrze? — powtórzyła głosem niskim i drżącym.

— Tak, moją żoną — powtórzył z jeszcze większym naciskiem — moją żoną umiłowaną, szanowaną, wielbioną, boginią mego domowego ogniska, gwiazdą mego życia. Czy pani zechce... Janko?

Westchnęła i w milczeniu, zrobiła przeczący ruch głową.

— Co... odmawia pani?... — rzekł głosem wzburzonym. — Czy mam wnioskować z tej odmowy, że pani kocha innego?

Znów wykonała przeczący ruch i opuściła [illegible]

— Więc... Dlaczego pani odmawia? — spytał znów, z rozpaczą w głosie.

— Nie posiadam majątku, Piotrze — odparła.

— Ależ ja jestem bogaty za dwoje!...

— I nie chcę wyjść zamąż — dodała — [illegible] chając. Mam dla pana prawdziwą wielką przyjaźń, głęboki szacunek... Uważam pana za uczciwego człowieka, w pełnem znaczeniu tego słowa. Tak, wiem, że pan mnie kocha, Piotrze, i od wielu dni oczekiwałam tej chwili, gdy mi pan to wyzna... albowiem odtąd nie będziemy mogli żyć obok siebie pod dachem pańskich rodziców tak, jak to było dotychczas.

Westchnął i zwolna wypuścił z dłoni rękę dziewczęcia.

— Dlaczego?... — spytał.

— Mój biedaku, ależ byłaby to dla pana bezustanna męka. A nie mogę pana na to nara[illegible]

— A gdzie pani się podzieje?

— Zrealizuję projekt, o którym myślę oddawna. Gdy tylko wrócę, wynajmę mieszkanie, sprowadzę babkę i będziemy mieszkały razem skromnie, w samotności tak, jak żyłyśmy w Nantes. W ten sposób dotrwam do terminu wygaśnięcia kontraktu, jaki mnie wiąże z pańskim ojcem... Potem...

— Co pani zrobi potem? — spytał cierpko.

— [illegible]

— Wyjdzie pani za Fernanda...

— Niech pan nie będzie złośliwy, Piotrze!

— On także panią kocha, a pani... dała swą krew, ażeby go uratować... Niech pani się przyzna... pani go kocha?

— Nie. I tak samo dałabym swą krew, ażeby uratować pana, gdyby to pan był ranny.

Teraz ona zkolei ujęła w swe lodowate dłonie rozpaloną rękę młodego człowieka.

— Proszę pana, Piotrze, niech pan nie będzie niesprawiedliwy i zazdrosny. Niech pan zostanie moim drogim przyjacielem, zaufanym i lojalnym przewodnikiem, pełnym rezerwy i taktu, takim jakim pan był dotychczas i za co jestem panu nieskończenie wdzięczna.

— Co panu nie przeszkadza stawiać wyżej innego — powiedział z goryczą.

— Piotrze, przysięgam...

— Ah, niech pani nic nie przysięga... ażeby kiedyś nie być krzywoprzysiężczynią. I niech pani nie zaprzecza! On podoba się pani więcej ode mnie. Ostatecznie, to jest pani prawo, a ja jestem idjotą, że wyznałem pani swą miłość za [illegible]

— Pocóż te niepotrzebne, złośliwe słowa? — Janka była zupełnie przybita.

— Cierpię... Czy mogę obojętnie słuchać tego, co mi pani mówi? Nie być zazdrosnym!... Musiałbym do tego przestać panią kochać... i...

Umilkł i wstał.

— Nigdy więcej nie powiem pani ani słowa o miłości — zaczął znowu. — Nigdy nie będę starał się złamać pani oporu. Może pani istotnie nie kocha Fernanda... nie wiem... już nic... Ale ja panią kocha, z całej duszy!... O, niech się pani nie obawia... Nie powtórzę tego więcej — dodał, na widok rozpaczliwego gestu dziewczęcia. — Ale niech mi pani pozwoli sobie powiedzieć, że *nigdy* — czy pani słyszy? — nigdy nie pokocham innej kobiety. Cokolwiek się stanie, kiedykolwiek napotka pani jakieś przeciwności, niech pani pamięta, że we mnie ma najwierniejszego, najbardziej oddanego przyjaciela... Nie mam nic więcej do powiedzenia i proszę, ażeby pani zapomniała o mojem natrętnem wyznaniu.

— Piotrze!... Proszę...

Ale Piotr skłoniwszy się przed nią, odwrócił się i, zszedłszy po stopniach altany, zniknął w cieniu wspaniałego parku, gdzie śpiew ptaków, woń kwiatów, szept wietrzyka wśród bambusów, pokrzykiwanie oswojonych, błądzących tam zwierząt — zwiastowały zbliżanie się nocy.

* * *

W dwa tygodnie później „Gryf VI", powracający z Indyj, przez Delhi, Kabul, Teheran, Konstantynopol i Rzym, wylądował na lotnisku w piękny, jasny, kwietniowy poranek.

Była szósta rano. Pomimo to zebrał się duży tłum. Klemens Durand — Gardel był na lotnisku. Obok niego stał Fernand, otoczony największemi asami lotnictwa.

Kiedy „Gryf VI" znalazł się już na ziemi, kiedy oficjalne władze powitały lotników i ich skromnego towarzysza, kiedy już wszystkie rytualne ceremonje zostały załatwione, Klemens Durand - Gardel wziął syna na stronę.

— Więc jak? — spytał.

— Nic... — odrzekł Piotr krótko.

A widząc zdumienie ojca, dodał:

— Jesteśmy i będziemy zawsze tylko kolegami. Janka i ja...

— A Fernand?

— Janka mówi, że go nie kocha...

— Wierzysz w to?

— Nie wiem... Nie pytaj mnie już o nic, ojcze...

Klemens nie nalegał, ale lekki uśmiech przemknął przez jego surowe usta... I ująwszy pod rękę syna, ażeby go zaprowadzić do swego samochodu, szepnął:

— Należy wierzyć temu, co ona mówi i nie rozpaczać, mój chłopcze... Zostaw wszystko cza[illegible]

ROZDZIAŁ X.

BRACIA — WROGOWIE.

W kilka dni później, pod koniec uroczystego obiadu, wydanego w Aeroklubie dla „śmietanki" lotnictwa francuskiego i zagranicznego, na cześć triumfatorów raidu Paryż — Benares, Klemens Durand-Gardel oznajmił wśród gorących oklasków zebranych, że w locie okrężnym Starego Kontynentu, „Kormoran II" będzie pilotowany przez Piotra Durand-Gardela, „Kormoran III" — przez Fernanda Servien du Mas D'Autours.

— Regulamin tego międzynarodowego konkursu, w którym Francja powinna oczywiście zająć pierwsze miejsce, pozwala nam wyznaczyć dwóch innych pilotów, jako towarzyszy pilotów głównych, w charakterze zastępców w razie jakiejś przeszkody, wypadku lub choroby. Stosownie do regulaminu przeznaczyłem dwoje ewentualnych zastępców Piotra Durand-Gardela i Fernanda Servien Mas d'Autours i chcę państwu zakomunikować ich nazwiska: Są to, dla „Kormorana II panna Janina Bel du Colombel..

Burza oklasków przerwała mu i trwała dłuższą chwilę, wśród entuzjastycznych okrzyków...

— Ponieważ państwo aprobują mój wybór — przemówił znów Klemens, gdy się uciszyło — podaję państwu nazwisko drugiego pilota „Kormorana III". Jest nim nasz kolega Lucien Fangeres...

Nazwisko to zostało przyjęte długotrwałem brawem.

— Oboje świetnie wywiązali się ze swej próby. Oboje więc polecą z oficjalnemi zawodnikami — zakończył inżynier. Teraz moi przyjaciele możecie im powinszować, a ja wnoszę kielich za ich zdrowie i przyszłe triumfy.

Przy tych słowach nastąpił zamęt.

Każdy chciał uścisnąć dłoń trzech mężczyzn i powinszować Jance, która, czerwieniąc się, wzruszona i zmieszana, nie wiedziała, komu najpierw odpowiadać.

Zkolei wstał sekretarz Aeroklubu i prze[illegible]

— Panie i panowie, proszę o chwilę uwagi. Muszę przeczytać państwu listę uczestników tego wielkiego międzynarodowego turnieju. Oto jak brzmi w porządku alfabetycznym:

(D. c. n.)

EDWARD SZYMAŃSKI.

MATKA

Bądź gotowa od rana do zmroku,
patrz na ręce i godzin nie rachuj.
Długą drogą, niewiadomo skąd, dokąd
dni przychodzą i odchodzą na zachód.

Wszystko trzeba umieć, pamiętać.
Tyle trosk wciąż naprzykrza się oczom —
Kto ci mówił, że niema święta,
Że ci nigdy nie wolno spocząć?

Ktoś zapomniał ci godzin przydłużyć,
ktoś twym rękom dał słodycz i niemoc.
Tylko w sercu masz serca tak dużo,
że nie, nie umiesz nie chcieć i nie móc.

Pozbierały się ciche uśmiechy,
pozbierały się małe radości,
aby jedna przez drugą, w pośpiechu,
pod twe stopy gościniec wymościć.

Przyjdzie dzień, co ci oczy rozzłoci,
jasnem czołem w pas się pokłoni,
gdy zobaczy tyle, tyle dobroci
w skarbcu małych, zmęczonych dłoni.

10 DNI W ŚWIECIE

Właściwie powinno być tym razem prawie 100 dni, bo tyle czasu dzieli nas od ostatniego numeru „Świata Dziewcząt". Niepodobna tak długiego czasu zmieścić w kilku minutach, jakie poświęcamy na czytanie tej rubryki! Chyba — żebyśmy go przemierzyli najszybszym środkiem lokomocji — samolotem?!

Samolot kapitana Skarzyńskiego widziałyśmy wielokrotnie w pismach, w kinie, na plakatach ulicznych. Ale fotografję bohaterskiego lotnika, który na małej awionetce przeleciał ocean i rozsławił na obu półkulach imię Polski— zawsze dobrze jest mieć na pamiątkę. Dajemy wam ją więc, miłe Czytelniczki!



Kapitan Skarżyński z małżonką.

Panna Boucher nie zrobiła coprawda nic dla sławy Polski, ale wyczyn jej interesować musi wszystkie kobiety: na jednopłatowcu 95PS ustanowiła kobiecy rekord wysokości na 6100 metrów. Jest to o 584 więcej od wszechświatowego rekordu Amerykanki Maizlipe, którego od roku 1931 nikt nie pobił.

Pani Wieler nie jest lotniczką, ale jest żoną znanego lotnika francuskiego. Ma jednak i swój własny tytuł do sławy: w roku 1931 otrzymała tytuł „Miss Europe". Nazywała się wtedy panna Diblavakos (jest Greczynką). Tytuł królowej piękności nie uderzył jednak do głowy ślicznej pannie Diblavakos: wyszła zamąż i jest najlepszą żoną i gospodynią, odniedawna również i matką. Widzimy ją na tej fotografji z synkiem Janem Marją Pawłem Annikiem. To ostatnie imię jest ustępstwem na rzecz ojczyzny szczęśliwej matki, która jest o wiele dumniejsza ze swego synka, niż z tytułu „królowej piękności".

OKRĘT OLBRZYM NIE KOŁYSZE SIĘ NIGDY.

Największy okręt świata, należący do Cunard-Line posiada tak zwany giroskop, czyli równoważnik zapobiegający kołysaniu. Urządzenie to kosztowało miljon dolarów. Nie zapobiega ono jednak kołysaniu się okrętu od przodu do tyłu, lecz od pokładania się na boki.

O locie okrężnym i raidzie samolotowym śladem pochodu wojsk Sobieskiego (prawda, co za śliczny pomysł!) pomówimy w następnym numerze.



Pani Wieler z synkiem.

RZECZY ŁATWE I TRUDNE

Tak łatwo i dobrze potrafimy opowiedzieć treść filmu albo przeczytanej powieści a tak trudno uczymy się zadanej lekcji historji i tak niedokładnie wydajemy tę lekcję, „wyrwane" do tablicy lub z ławki!

Dlaczego się tak dzieje? bo, że się dzieje, o to chyba nie będziemy się spierać?! Przecież każda z nas ma na sumieniu takie wyciągane przez profesora czy profesorkę odpowiedzi, długie pauzy niczem nieusprawiedliwionego namysłu, czy Kazimierz Wielki panował przed czy po Łokietku, albo co to byli konsulowie rzymscy, w którym roku wybuchła rewolucja francuska, co Grecja zawdzięcza Solonowi, kiedy powstało cesarstwo niemieckie i jak to właściwie było z temi wojnami uwielbianego Napoleona?

Mam głębokie przeświadczenie, że uczenica, zapytana o te same rzeczy poza lekcją — prawie wszystkie pamięta, albo w najgorszym razie nie staje wobec nich tak beznadziejnie bezradna, jak wobec pani profesorki czy pana profesora. Jestem także głęboko przekonana, że przeczytawszy gdzieś opis i znaczenie wojen punickich, zapamięta wiele szczegółów, a mając te wojny „zadane", wykuwa je kwadransami, jeżeli nie godzinami, myli kolejność i przypisuje poszczególnym wodzom czyny, których nigdy nie dokonali.

Sądzę, że nie będę daleka od prawdy, twierdząc, że przyczyny tego powszechnego zjawiska szukać należy w naszym nastroju, w naszem ustosunkowaniu się do tego, co „zadane", czego trzeba się nauczyć. Nieszczęsny wyraz „zadane" obciąża rzeczy najłatwiejsze, kładzie się jak kamień wpoprzek drogi naszych myśli, wczepia się w uwagę jak złośliwy oset.

Jak znaleźć na to radę?

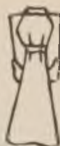
A możebyśmy spróbowały powiedzieć sobie, że nie uczymy się lekcji, tylko czytamy ten rozdział historji. Że chcemy się dowiedzieć i wiedzieć, co każdy inteligentny człowiek wiedzieć powinien? Niemiły podręcznik, to przecież nic innego jak pożyteczny skrót, który nam te najpotrzebniejsze rzeczy podaje w sposób łatwy i dla nas dostępny.

Sądzę, że w takim nastroju zasiadłszy do lekcji przyswoimy sobie z łatwością zadany rozdział i przestaniemy zdumiewać profesorów, koleżanki — no i same siebie! — naszemi odpowiedziami.

I co równie ważne — zrzucimy z siebie ciężar niechęci, która tak bardzo zawadza i przeszkadza w życiu.

Zofja Popławska.





Palto jesienne z grubej, puszystej wełny. Kołnierz z dużemi wyłogami, które można zapinać. Kieszenie skośnie przecięte. Rękawy ściśnięte na paseczek.

Palto zimowe z rdzawej wełny. Lekko wcięte, dwurzędowe, skośne kieszenie. Duży kołnierz i wyłogi z karakułów.

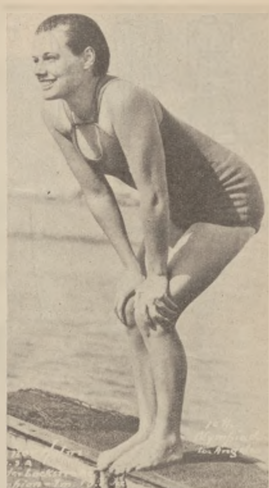
Kostjum z grubej, szarej lub czarnej wełny. Żakiecik można podbić moltonem lub watoliną. Jeden rząd guzików i pasek z klamrą. Kołnierz i mankiety z baranków.

Palto z grubej wełny. Rękawy reglanowe, jeden rząd guzików i jedna kieszeń ze strony prawej. Pasek z klamrą. Kołnierz z wyłogami i mankiety z baranków lub karakułów.

SPORT



Pływanie jest więc sportem



dla kobiety idealnym.

NASZE PIERWSZEŃSTWO

We wszystkich dziedzinach sportu kobieta ustępuje mężczyźnie w sposób jaskrawy. Nie należy sądzić, że ta przepaść, dzieląca wyniki kobiece od męskich, spowodowana jest wyłącznie różnicą siły, są bowiem niewiasty dorównujące pod tym względem „płci brzydkiej" prawie całkowicie.

Czemże więc wytłumaczyć, że np. kobiecy rekord świata w rzucie dyskiem, ważącym wszystkiego 1 kilogram, który, nawiasem mówiąc, należy do naszej rodaczki Wajsówny, wynosi 42 metry, podczas kiedy rekordowy wynik męski (Amerykanin Jersup), osiągnięty dyskiem dwa razy cięższym, przekracza 52 metry? Albo jeszcze inne przykłady: skok wzwyż — kobiety 167 cm., mężczyźni 203 cm.; bieg 100 mt. — kobiety 11.9 sek. (Walasiewiczówna), mężczyźni 10.3 sek.; rzut oszczepem — (600 gramów) — kobiety 44 mtr., mężczyźni — (800 gr.) — 74 mtr.! Różnica wielu klas!

Tajemnica tej nieproporcjonalnej różnicy wyników tkwi w czem innem. Mężczyzna posiada specjalnie silnie rozwiniętą zdolność gwałtownego wyzwolenia wszystkich swoich sił w jednym ułamku sekundy. Fizjologja nazywa tę zdolność „wybuchowem wyładowaniem energji", w języku sportowym nazywamy ją „zrywem". Otóż ta zdolność jest dla łagodnej natury kobiecej zupełnie obca i z tego powodu nawet rekordzistki świata nie były dotąd nigdy godnemi przeciwniczkami dla przeciętnie wytrenowanego mężczyzny.

Ten fakt jest może przykry dla ambicji naszych młodych czytelniczek, istnieje jednak ponad wszelką wątpliwość. Pocieszmy się jednak: jest taka dziedzina sportu, gdzie kobieta prawie całkowicie sprostać może mężczyźnie. Tym sportem jest — pływanie!

Wszelka szarpanina, każdy zryw, każda gwałtowność poruszeń, tak charakterystyczna dla mężczyzny, w pływaniu przynosi tylko szkodę. W ten sposób można tylko narobić wiele bryzgu, dużo piany i... szybko się zmęczyć. Pod tym względem kobieta ma nad mężczyzną ogromną przewagę. Wrodzona jej jest wielka ruchliwość stawów, łagodność i płynność ruchów i bezcenna w tym wypadku miękkość każdego wysiłku.

Te wielkie zalety kobiece w kolosalnym stopniu niwelują różnicę nie tylko siły, ale i wytrzymałości. Kto pływa miękko, ten pływa szybko i mało się męczy. Kobieta jest więc jakby przez naturę stworzona do pływania, to też w tej dziedzinie coraz więcej zagraża hegemonji mężczyzny i z każdym rokiem coraz bardziej zbliża się do jego wyników.

Rekord męski na 100 mtr. wynosi 57.4 sek. (Weissmiller) i trwa niepobity już od wielu lat. Przez ten czas rekord kobiecy był już poprawiony niezliczoną ilość razy i dziś wynosi 1:06.6 sek. (Helen Madison). Różnica jest coraz mniejsza, a świetna forma młodej Holenderki Ten Ouden pozwala liczyć na dalszą poprawę i to już w najbliższym czasie.

Rezultaty w pływaniu u mężczyzn są lepsze, ale zato pod względem opanowania stylu kobieta już dzisiaj dzierży zdecydowane pierwszeństwo. Najtrudniejszy, ale równocześnie i najszybszy ze wszelkich sposobów pływania — crawl, został opanowany przez kobiety znakomicie, a świetna pływaczka amerykańska Gertruda Ederle do dziś dnia stawiana jest za idealny wzór do naśladownictwa. Miękkość ruchów tej pływaczki nie sprawia wrażenia najmniejszego wysiłku i pozwala jej tym stylem (crawl), który uchodził dotąd za najbardziej wyczerpujący, przebywać ogromne przestrzenie.

Skuteczności swego idealnego stylu dowiodła Ederle na wspaniałym przykładzie — jako pierwszy człowiek płynęła crawlem kanałem La Manche, co dotychczas uważane było za zupełne niepodobieństwo. W jej ślady poszła młodziutka pływaczka angielska Miss Mercedes Gleitze, która, po uporaniu się z kanałem, dokonała drugiego znakomitego wyczynu, przepływając cieśninę Gibraltarską.

Te wielkie sukcesy, odnoszone przez kobiety na polu pływania, są spowodowane nie tylko łatwością opanowania stylu i miękkością poruszeń. Kobieta ma jeszcze jednego sprzymierzeńca, którym jest ciężar gatunkowy ciała, znacznie mniejszy, niż u mężczyzny. Stąd wypływa większa łatwość utrzymywania się na powierzchni wody, co posiada, zwłaszcza przy pokonywaniu większych przestrzeni, bardzo wielkie znaczenie.

Pływanie jest więc sportem dla kobiety idealnym. Pozwala jej osiągać pierwszorzędne wyniki, nie deformuje „linji" zbytecznym przerostem mięśni, a prócz tego jest sportem, którego uprawianie daje prawdziwą przyjemność.

Niestety, jak dotychczas, nie mamy jeszcze w Polsce pływaczki, któraby miała wyniki na miarę światową. Możemy się pochlubić rekordzistkami świata w lekkiej atletyce (Wajsówna, Walasiewiczówna, Konopacka), wspaniałym talentem tenisowym Jędrzejowskiej, wielką klasą narciarki Polankowej — ale na prawdziwą mistrzynię w pływaniu oddawna czekamy napróżno.

Może zostanie nią w przyszłości która z naszych młodych czytelniczek? Tylko trzeba zacząć zaraz, jak najprędzej! Na szczęście nie brak już u nas prawidłowych basenów, ani zdolnych instruktorów. *W. T.*

ENCYKLOPEDJA „ŚWIATA DZIEWCZĄT"

Niepodobna znać wszystkich języków! Niepodobna jednak z drugiej strony nie rozumieć obcych wyrazów i wyrażeń, które się utarły i są używane w mowie potocznej, w prasie i w literaturze.

Dlatego też „Świat Dziewcząt", chcąc ułatwić swoim czytelniczkom każdą dziedzinę życia i być dla nich prawdziwem Vade mecum (dosłownie: chodź ze mną! oznacza przewodnik, podręcznik) wprowadza nowy dział: „Nasza encyklopedja", który będzie zawierał dosłowne tłumaczenie i przykłady zastosowania powiedzeń i słów, wziętych z obcych języków. Nie będziemy się przytem trzymać porządku alfabetycznego, bo strasznie długo musiałybyście wtedy czekać na takie „vade mecum" naprzykład. O kolejności umieszczenia w „encyklopedji" decydowne będzie popularność danego wyrażenia, no i pytanie, zadawane przez czytelniczki.

A więc — zaczynamy!

1) *Ad rem*, wyrażenie łacińskie, dosłownie znaczy: do rzeczy. Mówimy *ad rem*, kiedy chcemy kogoś zmusić, żeby nie odbiegał od tematu, a trzymał się tego, o czem jest mowa.

2) *Alea jacta est*, wyrażenie łacińskie, przypisywane Juljuszowi Cezarowi przed przejściem Rubikonu. Znaczy dosłownie: kość rzucona! Używa się dla wyrażenia, że się po długiem wahaniu, przyjęło ważną decyzję.

3) *Bas bleu*, wyrażenie francuskie, odpowiednik niemieckiego *blaustrumpf* i angielskiego *Blue stakings*. Dosłownie — Błękitna pończocha. Używa się na określenie sawantki, kobiety uczonej. Wyrażenie to powstało około 1870 roku w Londynie na określenie członkiń Stowarzyszenia Uczonych Kobiet, którego prezeska, pani Stillingfleef, nosiła niebieskie pończochy.

4) *Cum grano salis*, wyrażenie łacińskie. Dosłownie, z ziarnkiem soli. *Sól* oznacza tutaj dowcip, żart. Używa się tego wyrażenia, kiedy się chce zaznaczyć, że czyjeś słowa należy brać z zastrzeżeniem.

5) *Non decet*, wyrażenie łacińskie. Dosłownie: nie przystoi! Mówi się non decet, żeby zwrócić uwagę na niestosowność czyichś słów czy zachowania.

6) *The right man on the right place*, wyrażenie angielskie. Dosłownie: właściwy człowiek na właściwem miejscu. Używamy tego wyrażenia, kiedy chcemy podkreślić, że ktoś zajmuje stanowisko odpowiednie do swoich zdolności i zasług.

KURJER DEKADOWY Nr. 7 20.IX. 1933 r.

Niemcy i Austrja — a Pakt Czterech

Pakt Czterech, podpisany niedawno przez cztery największe państwa Europy: Francję, Anglję, Włochy i Niemcy, przy pierwszej próbie wprowadzenia w życie, jakiej obecnie został poddany, zawiódł pokładane w nim przez swych uczestników nadzieje.

Bowiem Anglja i Francja, które usiłowały na jego zasadzie skłonić Niemcy do zaprzestania kampanji, jaką Rzesza prowadzi obecnie przeciw Austrji, otrzymały zdecydowaną i wysoce nieparlamentarną radę rządu Hitlera nie mieszania się w nieswoje sprawy.

Nielepiej udało się Włochom, które występowały na własną rękę, bez porozumiewania się ze swymi partnerami i uzyskały nawet uspokojające obietnice Niemiec, którym jednak zaprzeczyły nowe, zatrważające wystąpienia hitlerowskie wobec Austrji. Wobec tego fińska, najmniej zainteresowana Anglja stara się zatuszować swe niepowodzenie i daje do zrozumienia, że cała sprawa nie ją właściwie nie obchodzi. Francja nadal głośno protestuje, a Włochy, dla których najbardziej groźne są dążenia Hitlera do owładnięcia Austrją, pertraktują pokolei z węgierskim i austrjackim kanclerzem, przygotowując gorączkowo plan unji Austrji z Węgrami, jako pokrzyżowanie planów niemieckich. Nie przeszkadza to jednak wcale Rzeszy, która coraz zuchwalej i natarczywiej dąży do wywołania przewrotu hitlerowskiego w Austrji, wiedząc, że wówczas nieunikniene już będzie połączenie obu niemieckich narodów. A biedna, mała Austrja, która odrazu zyskała tylu dobrowolnych obrońców, broni się zaciekle i jak dotąd skutecznie przeciw tym zakusom Hitlera, podkreśla jednak wciąż, że tylko przekonania polityczne dzielą ją w tej chwili od siostrzanego narodu niemieckiego.

Protokóły wschodnie

Tymczasem, gdy sławetny Pakt Czterech, głośno reklamowany jako rękojmia pokoju, nie potrafi dać sobie rady z awanturą niemiecko-austrjacką, na wschodzie Europy coraz bardziej utrwalają się stosunki pokojowe. A więc przedewszystkiem w czasie międzynarodowej konferencji gospodarczej dochodzą do skutku, w Londynie przygotowywane przez Polskę i Rosję, protokóły wschodnie. Ustalają one w sposób jasny i wyraźny po raz pierwszy pojęcie napastnika i stają się dla swych uczestników jednym więcej filarem pokoju.

Pierwszy protokół podpisuje 8 państw — Polska, Rosja, Rumunja, Turcja, Łotwa, Estonja, Finlandja oraz Persja, do drugiego (otwartego zresztą dla wszystkich) przystępują między innemi z Rosją na czele państwa Małej Ententy i Litwa. Jest to więc dalszy etap do zapoczątkowanego już przez Polskę zgodnego współżycia państw w Europie Środkowo-Wschodniej, co ma specjalne znaczenie ze względu na załagodzenie naprężonych dotąd stosunków między Sowietami a Rumunją i odsunięcie na dalszy plan spornej dla obu stron kwestji przynależności Besarabji.

Polska a Gdańsk

Jeśli dalej chodzi o Polskę, to zarówno jej stosunki z Niemcami uległy pewnemu uspokojeniu, jak też doznały znacznej poprawy stosunki gdańsko-polskie. Na skutek bezpośrednich konferencyj, odbytych między nami a Gdańskiem, podpisany został dnia 5.VIII układ, mocą którego Polska zobowiązuje się do należytego wykorzystywania portu gdańskiego, a Wolne Miasto przyznaje i utrwala prawa, jakie przysługiwały obywatelom polskim na zasadzie pierwotnej umowy (a więc m. in. swobodę i równouprawnienia w zakresie nauczania, wykładania języka polskiego, zakładania szkół polskich i t. d.).

Układom tym towarzyszyła pierwsza oficjalna wizyta przedstawicieli Wolnego Miasta w Warszawie, a następnie wycieczki młodzieży szkolnej i dziennikarzy gdańskich do Polski. Są to pierwsze podstawy i oznaki polepszania się naszych wzajemnych stosunków, które zakłócają wciąż jeszcze jednak wyzywające się, nieodpowiedzialne wystąpienia pewnych, zbyt przywiązanych do Rzeszy, obywateli Wolnego Miasta.

Statystyka na uczelniach polskich

Jak wykazało badanie statystyk uczelni poszczególnych krajów, Polska w porównaniu z innemi państwami nie ma przepełnienia ani na uniwersytetach, ani w szkołach średnich. Rekord pod tym względem ma Szwajcarja, a następnie Austrja. Natomiast Polska posiada największą ilość dzieci w szkołach powszechnych.

M. K.

NASZE REPORTAŻE

Uczennice prywatnej szkoły w Sanoku urządziły przedstawienie ku uczczeniu morza. Oto co pisze nasza kochana sanocka „reporterka".

Nasz teatr szkolny pod kierunkiem naszej kochanej polonistki (nauczycielki polskiego) wystawił „Baśń Bałtycką" w sali „Sokoła". Cały nasz wieczorek był zwrócony „frontem do morza" pod hasłem: „Zbliżmy się do morza, a morze zbliży się do nas". Całe przedstawienie, począwszy od sztuki, a skończywszy na dekoracjach, było naszą własną pracą samodzielną! Grałyśmy na wielkiej scenie przy wypełnionej sali! Zbierałyśmy oklaski, aż serce rosło! Balety: solowy — rosy i zbiorowe — fal i marynarzy powtarzałyśmy po kilka razy. *Sto złotych postałyśmy na flotę polską.*

A może Koleżanki z nad morza zainteresują się Sanokiem i nami? Może „Świat Dziewcząt" ułatwi nam zbliżenie z morzem, które tak kochamy?

Sanoczanka.

A oto, co piszą Czytelniczki ze stowarzyszenia polskiej młodzieży żeńskiej w Ostrowcu.

Dnia 26.V odbył się zlot S. M. P. w Ostrowcu. Po wspólnem wysłuchaniu mszy świętej o godz. 7-ej rano była zbiórka. Wyjechali furmanką ks. Włodarski, 5 druchen i 4-ch druhów. Wśród wesołych pogadanek i wielkich śmiechów zbliżaliśmy się do cichego miasteczka Sienna. Przybyliśmy do ogniska S. M. P. Sienna, gdzie druchny przyjęły nas bardzo uprzejmie. Po chwilowym odpoczynku nastąpił odmarsz na plac Krzywdy, gdzie odbywały się wyścigi — 5 klm. w ciągu 45 min. Jednak nie wszyscy brali udział. Następnie odbyła się defilada przez rynek do kościoła. O godz. 4-ej odbyła się akademja. Nasze druchny i druhowie podziwiali pracę przygotowaną na zlot w Siennie. Wśród krzyku i śmiechu opuściliśmy Sienno.

Dn. 4.VI Stowarzyszenie uczciło uroczystą akademją Jubileusz Ludzkości i patronek S. M. P. Najświętszej Marji Panny.

Dn. 5.VI obchodziło S. M. P. podwójne święto, t. j. prymicję ks. Jana Stępnia, naszego rodaka w Ostrowcu.



Z upragnieniem oczekiwaliśmy tak wielkiej chwili, w której uroczyście chcieliśmy wyrazić ks. prymicjantowi uczucia, jakie dla Niego w naszych sercach żywimy. Są to uczucia prawdziwej czci i wdzięczności za to, że przyniósł chlubę naszemu miastu. Złożyłyśmy wiązankę życzeń oraz piękny bukiet kwiatów, który ks. prymicjant ofiarował na ołtarz, a następnie wzięłyśmy udział — jako Stowarzyszenie — w mundurkach w procesji. Następnie odbyła się msza św., którą odprawił ks. Jan Stępień. Ks. Kapusta, dawny prefekt prymicjanta, miał kazanie, w którem bardzo pochlebnem słowem przedstawił Swego dawnego ucznia. Po mszy odbyło się błogosławieństwo udzielone przez ks. Jana Stępnia i rozdanie obrazków na pamiątkę pierwszej mszy ks. Jana Stępnia. Po południu tego samego dnia ksiądz Jan Stępień wziął udział z nami w zdjęciu fotograficznem, które załączamy.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Wesołej Lotniczce.

Cóż za miły list! Aż wiatr świszcze w uszach. Co do nosa i warkoczy — daj sobie spokój. To drugie, może być urocze — a to pierwsze! Czy był kto kiedy zadowolony ze swego nosa? Jest takich zaledwie mała ilość na wielki tłum. Zabawy w Indjan będą jeszcze pasjonować niejedno pokolenie, chociaż jest to conajmniej nielogiczne zjawisko. To biali wygubili Indjan, a teraz dzieci ich solidaryzują się z pokonanymi (czy zauważyłaś, że w podchodach wojennych nikt nie chce być bladą twarzą?). Jak można wstydzić się zabawy lalkami? Tak robią chyba b. małe dzieci. Cóż to komu szkodzi? Ostatecznie możesz zawsze powiedzieć nierozumnemu, młodemu otoczeniu, że komponujesz na modelu nowy fason sukni... Pamiętam, że w naszej szkole do 8-ej klasy włącznie lalki były bardzo modne w internacie; komponowało się całe ich życie i prowadziło bardzo urozmaicone djalogi. Jedna z moich koleżanek miała lalkę, ucharakteryzowaną na dziwadło — starą pannę, b. sentymentalną. Była to b. karykaturalna postać. W jej imieniu Krysia A. (właśnie ta koleżanka) skomponowała następującą piosenkę:

Chciałabym
chciałabym
być małym motylkiem
Toobym
Toobym
latała nad moim kochankiem
A ten mój kochanek
to jest pan Kazimierz
co ma taki śliczny
wykładany kołnierz.

Żałuję, że nie mogę ci zapisać melodji, ale nie mamy takich nutowych czcionek.

Przecież z lalek można komponować wspaniałe historje. My urządzałyśmy cudowne zabawy, a nawet przedstawienia lalkowe z publicznością.

Co do twojej pasji lotniczej — ma się wrażenie, że całe dawne junactwo kawalerji polskiej wcieliło się teraz w aeroplany. Droga dla kobiet nie jest jeszcze łatwa — ale nigdy jeszcze łatwe drogi nie otwierały się same przed kobietami. Trzeba wypatrzyć kierunek i deptać, aż się ludzie przyzwyczają. Tak było ze wszystkiemi zawodami. Tymczasem, trzeba mieć sporo pieniędzy na lotnictwo. Napiszesz jeszcze?

Danucie Now.

Kochana Danuśko! Widocznie niezbyt uważnie czytujesz Świat Dziewcząt, bo w numerze 9 było wszystko dokumetnie wyłożone: że kobiety mogą kończyć kursy pilotażu, organizowane przez Aeroklub. O szkole wojskowych pilotów oczywiście niema mowy, ani też o tem, żebyś swoje lotnictwo traktowała jako zawód. Możesz być sportową pilotką, jeżeli bardzo chcesz. To wszystko.

Z tego powodu miałaś pewno takie sprzeczne informacje. Przeczytaj 9 numer, namyśl się i napisz, co zdecydowałaś.

Miła Lublinianko!

List Twój bardzo był dla nas ciekawy, i bardzo chciałybyśmy zadowolnić Twoje, może nawet słuszne, wymaganie, ale cóż, jest cała gromada dziewcząt, które krzyczą, że jesteśmy jeszcze za poważne, za mało rozrywkowe, za... za... za... Nic innego nam nie pozostaje, jak przeplatać poważne artykuły, lżejszemi, żeby już wszystkim dogodzić.

Co się tyczy sprawy sędziego dla nieletnich, to w najbliższym czasie będziesz miała o tem artykuł. Narazie mogę Ci powiedzieć, że praca jest odpowiedzialna, ciężka, „tak sobie" płatna, ale bardzo, bardzo przyjemna. Tylko otrzymanie tego stanowiska nie jest znowu takie łatwe. Żegnaj Lublinianko, i pisz znowu!

Marzenko z Leśniczówki!

Wybacz, że tak długo Świat Ci nie odpisywał, ale był biedak tak zawalony korespondencjami, że nie mógł sobie dać rady. Bardzo mu przykro z tego powodu, bo wie doskonale, że ludziom, mającym zmartwienia, trzeba odpisywać jak najprędzej.

Co do Twojej sprawy, to coby tu wymyśleć? Nie napisałaś wcale, do czego masz zamiłowanie, do czego zdolności. Jakże tu radzić? Ze swojemi 4-a klasami możesz wstąpić do szkoły rękodzielniczej (krawieczczyzna, roboty), sztuk zdobniczych, handlowej, gospodarczej, agrotechnicznej, wychowawczyń, ogrodniczej. Jeżeli lubisz dzieci, mogłabyś zostać wychowawczynią, jeżeli jesteś mocna w rachunkach — idź do szkoły handlowej, jeżeli lubisz przyrodę — idź na kursy ogrodnictwa. Napisz dokładniej o sobie, a podamy stosy adresów. Pa, uszy do góry, napewno wybrniemy z tego kłopotu!

Mi Skarż.

Bardzo dziękujemy, Kochanie, za wszystkie miłe słówka, do nas skierowane. Piekielnie zazdrościmy Ci tych wycieczek, my, które jeszcze musimy tkwić przy naszych biurkach!

No, ale trudno! Co się tyczy Szkoły Dramatycznej, to podajemy Ci adres — Warszawa — Okólnik 1. Napisz do nich, poślij znaczek, odpowiedzą najdokładniej, to będzie o wiele prędzej, niż załatwienie przez nas. Pisz do nas jak najczęściej! Do Bratnich Dusz musisz przysłać tekst na osobnej kartce.

Czy Bartnikowi podziękowałam za życzenia świąteczne? Jeśli nie — to teraz. Prosimy o pszczeli reportaż z fotografją całego roju i kierowniczki w Twojej osobie!

„Kik" (proszę nie plątać z „Kiku" bo to co innego.

O, biedny Kik, ma aż tyle języków do kucia, ale pociesz się, że to b. b. ważne poznać je i przyswoić, jak swoje własne. Gdybyś chciała zarabiać; to nic tylko dodać do tego stenografję i ma się świetną sytuację. Cierp więc cierpliwie i kuj, ile wlezie, będziesz miała potem moc przyjemności, czytając np. angielskie książki w oryginale. A jeśli jeszcze mieszkasz na wsi i uprawiasz sporty, los Twój wcale nie jest taki opłakany. Jeśli chcesz poznać „inne życie" przyślij swój adres do naszej wiadomości i kilka słów na osobnej kartce do Bratnich Dusz. Co ci się podoba w naszem piśmie?

KONKURS LITERACKI „ŚWIATA DZIEWCZĄT"

przedłuża swój termin do dn. 1-go listopada.

Przysyłajcie rozwiązania, bo oczekują Was piękne nagrody.

REDAKCJA

HALLO! NASTĘPNY NUMER HALLO!

„ŚWIATA DZIEWCZĄT"

przyniesie: Pożyczka Narodowa, Serce Sobieskiego, Ja i świat, Pani-sędzia, dalszy ciąg powieści i noweli, Kino, Rozrywki, Nasze seminarjum, oraz wiele innych ciekawych feljetonów i artykułów.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 12.—; półrocznie — zł. 7.—; kwartalnie — zł. 3.50; miesięcznie — zł. 1.30.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu 52 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorka naczelna: Zofja Popławska.
Komitet Redakcyjny: Wanda Borudzka, Hanna Januszewska-Moszyńska i Zofja Miszewska.
Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja: Solec 87, tel. 244-18 i 787-03. Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od godz. 6 do 7. Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty o. 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.